FALA

MIESIĘCZNIK
LITERACKO-GRAFICZNY

Nr 1 Cena zł. 1.25

ROK I. WARSZAWA, STYCZEŃ 1931 Nr. 1.

FALA

MIESIĘCZNIK LITERACKO-NAUKOWY



Adam Bunsch Opowieść o kwiatach



Salon Doroczny T-wa Zachęty Sztuk Pięknych

Alfons Karny Tors

OD REDAKCJI.

Kiedy w kioskach ukaże się nowe pismo i oko inteligentnego przechodnia na niem spocznie pierwsza myśl jaką ten widok mu nasunie jest: „Jakie zabarwienie polityczne ma to pismo?" A jeżeli jest to czasopismo literackie, to zaraz potem nasuwa się drugie pytanie: „Jaki kierunek literacki ono reprezentuje?".

Odpowiemy krótko na te pytania: Nie reprezentujemy żadnego stronnictwa i w sporach politycznych wewnętrznych nie będziemy zabierali głosu, wychodząc z założenia, że dość jest wzajemnej nienawiści między zwolennikami takich czy innych programów, aby tę nienawiść jeszcze spotęgować, natomiast zwalczać będziemy wszystko to, co godzi w całość, szczęście i honor Polski.

Nie reprezentujemy również żadnego kierunku literackiego, w ścisłem tego słowa znaczeniu, żadnej grupy literackiej, czy pseudo-literackiej. Uważamy że stokroć ważniejszą rzeczą od takiej, czy innej doktryny literackiej, takiej czy innej politycznej tendencji jest istotna wartość artystyczna utworów literackich, rzeczowe i wszechstronne artykuły. To też na łamach „Fali" znajdą gościnę zwolennicy krańcowo przeciwnych poglądów na sztukę i literaturę. Dziś, w epoce obniżenia poziomu wielu czasopism, odczuwa się konieczność stworzenia takiej placówki kulturalnej z której by przemówiły obok znanych i powszechnie cenionych, również młode, ale utalentowane pióra. Tej potrzebie uczyni zadość „Fala".

Wydając pierwszy numer „Fali" w warunkach niesłychanie ciężkich, możemy z pewną dumą stwierdzić, że mierzyliśmy siły na zamiary i to hasło nas nie zawiodło.

REDAKCJA

ISTOTA RUCHU HITLEROWSKIEGO

Opinja publiczna Polski z niesłabnącym nigdy zainteresowaniem śledzi objawy życia politycznego Niemiec. Zainteresowanie to jest rzeczą najbardziej zrozumiałą i chwalebną, ba, jest ono nawet wprost obowiązkiem narodowym. W Berlinie wszak powstał ongiś złowrogi plan rozbioru Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej, w Berlinie wszak zapadła, brzemienna tylu następstwami, decyzja rozpoczęcia Wielkiej Wojny. Z Berlina też i obecnie najłatwiej zerwać się może nowa burza dziejowa, która potarga nieutrwalone i chwiejne jeszcze wiązania Wersalskiego dzieła.

Ostatnio punktem centralnym wszystkich zainteresowań, nietylko naszych, ale również francuskich, angielskich i włoskich, stał się ruch hitlerowski. Faktem jest wszak bezspornym, iż na arenę życia niemieckiego wystąpiła z całą gwałtownością, i to mimo wszystko dość nieoczekiwanie dla wszystkich, nie wyłączając i samych Niemców, nowa i wielka siła polityczna. W ostatnich wyborach parlamentarnych niemieckich (z dnia 14 września 1930 r.) głównym, jeśli nie jedynym zwycięzcą jest Hitler, być może jutrzejszy już dyktator Rzeszy. Liczba posłów-hitlerowców wzrasta z małej grupki 12 do imponującej cyfry 107. Liczba głosów oddanych na listy hitlerowskie wzrosła z 800.000 na 6.400.000, a więc ośmiokrotnie. Hitlerowcy z małego stronnictwa politycznego, stojącego na 10-em dopiero miejscu kolejnem co do swej siły liczebnej, stają się 2-giem z rzędu wogóle (na pierwszem miejscu utrzymali się wprawdzie socjaliści, ale ponieśli oni dotkliwą stratę), pierwszem na prawicy. Gdy Hitlerowcy zajmowali w poprzednim Reichstagu mniej niż 1/40 część miejsc, to w obecnym zajmują prawie 1/5. Co jednak należy podkreślić z jaknajwiększym naciskiem to okoliczność, iż Hitlerowcy nie spoczęli zupełnie na laurach po tak świetnem zwycięstwie wyborczem, ale przeciwnie jeszcze wzmogli swą akcję propagandową i organizacyjną. Gdy w okresie wyborczym np. urządzili 34.000 wieców, to w bieżącym okresie mają urządzić ni mniej ni więcej tylko 70.000 wieców. Dzienniki nieustannie też donoszą o rosnących z dnia na dzień wpływach Hitlera i jego „narodowo-socjalistycznej partji robotniczej“. Liczne wybory do ciał komunalnych i prowincjonalnych wykazują wszędzie, w porównaniu z dopiero co odbytemi wyborami parlamentarnemi, nowy znaczny przyrost głosów i mandatów hitlerowskich. Widzimy więc, że „narodowi socjaliści“ to nie tylko siła polityczna poważna i pierwszorzędna już dzisiaj, ale — rzecz arcyważna — rosnąca wciąż coraz bardziej, znajdująca się w pełnym zwycięskim pochodzie naprzód.

Jaką zapowiedź niesie zjawienie się tej siły dla Niemiec, dla krajów sąsiadujących z Niemcami t. j. Polski, Francji, Czech, dla Europy całej? Czy pokój światowy został utrwalony przez zdobycie wielkiej i trwałej podstawy w sercach i umysłach obywateli najliczniejszego narodu, mieszkającego w środku Europy? Czy też przeciwnie duch wojny, duch zemsty i odwetu święci nowe tryumfy, nowe zdobycze? Aby dać odpowiedź wyczerpującą na powyższe tak ważne dla nas pytanie należy zapoznać się bliżej z samą istotą ruchu hitlerowskiego, z jego podłożeń moralnym, gospodarczym i politycznym, z jego programem i taktyką, z jego twórcą i kierownikiem.

Podłożem ideowym ruchu hitlerowskiego jest niewątpliwie nacjonalizm niemiecki w swem najbardziej skrajnym wyrazie. Znamy dobrze, my właśnie, teorję o niemieckiej misji dziejowej, o wyższości rasy germańskiej. Znamy nawet więcej niż samą teorję, znamy przecież doskonale i praktykę z niej wypływającą. A jest to teorja uzasadniona w sposób naukowy, z całym balastem materjału historycznego i antropologicznego, teorja przytem już dawno sformułowana. Twórca tej teorji jest Gobineau—francuz. (Tak właśnie francuz). Gobineau stworzył w swej słynnej książce „O nierówności ras“ całą drabinę hierarhiczną ras i narodów. Jako najbardziej twórczą, najbardziej wartościową na kuli ziemskiej uważa grupę indo-europejską czyli jak je nazywa indo-germańską, a w niej rasę germańską, w tej zaś te narody, które typ germański najczyściej, najpełniej reprezentują, t. zn. narody skandynawskie w pierwszym rzędzie. Gobineau, głosząc powyższą teorję, nie ubliża zupełnie ani sobie samemu, ani swej ściślejszej Ojczyźnie. Jest on bowiem potomkiem skandynawskich wikingów, jest Normandczykiem. Wedle Gobineau jeśli jest gdziekolwiek właściwa „urodzona" arystokracja, to jest ona pochodzenia normandzkiego, a przynajmniej germańskiego. Za taką właśnie uważa arystokrację Francji, powstałą z rodzin zdobywców frankońskich odświeżoną przez podboje i kolonizacje Normandów, Anglji, gdzie też mamy dwie fale zdobywców germańskich, Anglo-saxów najpierw a potem Normandów, Italji, gdzie znów znajdujemy na północy Longobardów i na południu Normandów, Rosji podbitej przez Waregów, Hiszpanji podbitej przez Wizygotów. Teorja Gobineau niewielkie znalazła uznanie nawet i w krajach germańskich. Wyjątek stanowiły pod tym względem Niemcy. Dokonane oraz zamierzone podboje i zabory potrzebowały uzasadnienia i wytłomaczenia przed światem, usposkojenia własnego sumienia. Z zapałem więc przyjęto wiarę w wyższość rasy germańskiej, z zapałem cały naród śpiewa swoje credo rasowo-polityczne wyrażone w hymnie „Deutschland über alles". Pycha i buta niemiecka były tak wielkie i tak powszechne w całym na-

rodzie, iż w r. 1914 wyzwali zuchwale do walki z sobą cały niemal świat. Klęska wojenna spowodowała oczywiście poważne załamanie się buty niemieckiej, wiary w „niemieckiego boga", spowodowała również poważne zmiany w psychice narodu niemieckiego i upadek cesarstwa.

Jednakże zmian w psychice niemieckiej, których widomym wyrazem jest rewolucja listopadowa 1918 r. i republikański ustrój Rzeszy, nie należy przeceniać. Przedewszystkiem sam fakt gigantycznego oporu jaki przez cztery lata stawiły Niemcy przemożnym siłom Wielkiej Koalicji, sam fakt niezliczonych zwycięstw oręża niemieckiego, odniesionych na wszystkich frontach — stał się tytułem mimo ostatecznej klęski, do nowej i wielkiej chwały narodowej. Następnie należy pamiętać, iż „gniew ludu" oraz dążenie do demokratycznej formy rządów ujawniły się dopiero wtedy, gdy już los wojny był całkowicie zdecydowany na niekorzyść Niemiec. Niemcy stały już na skraju zupełnej klęski militarnej, a następnie i ogólnej. Sprzymierzeńcy Niemiec kapitulowali już co do jednego. Monarchja Habsburgów rozleciała się na strzępy. Nierównomierna walka armji niemieckiej z przewagą sił sprzymierzonych zamieni się lada dzień w prostą rzeź. Nemezis dziejowa, chwila pomsty za ruiny: Belgji, półn. Francji, Polski, Serbji i Rumunji — zawisła niezawodnie nad Niemcami. I oto Niemcy, chcąc za wszelką cenę uniknąć ostatecznego zdruzgotania, chcąc uzyskać zawarcie natychmiastowego rozejmu, a następnie najdogodniejsze warunki pokoju, inscenizują poniekąd rewolucję, a następnie manifestacyjne odżegnanie się od ducha cesarstwa, imperjalizmu, szowinizmu. Rewolucja niemiecka nie wpłynęła w niczem na los orężnej rozprawy, jedynie oszczędziła Niemcom beznadziejnej hekatomby ludzkiej i inwazji wroga. Nie wybuchła ani o jeden dzień zawcześnie. Raczej, z punktu widzenia niemieckich interesów materjalnych, nieco zapóźno. O tem trzeba pamiętać, gdy tyle mówią o „sztylecie zdradziecko wbitym w plecy walczącego żołnierza". Znamiennym dla oceny charakteru rewolucji listopadowej jest ten fakt, iż zaczęła się ona nie „z dołu" ale „od góry", od ogłoszenia przez Kanclerza Rzeszy, którym wówczas był jeden z herzogów niemieckich (ks. Maks Badeński), sfałszowanego aktu abdykacyjnego Wilhelma II. Droga wytknięta przez ten pierwszy akt nowych rehabilitujących się przed światem Niemiec, została mistrzowsko utrzymana przez jedną część polityków mniej lub więcej szczerze (mowa tu o stronnictwach koalicji „wejmarskiej" z socjalistami na czele), przez drugą część świadomie z najbardziej zimnego wyrachowania. Nowe Niemcy nie poprzestały więc na usunięciu samego Wilhelma II, a nawet Hohenzollernów, ale „zdradziły" nawet samą ideę cesarstwa, z której tak były dumne, „zdradziły" nawet swoją stolicę, przenosząc ją czasowo do Wejmaru, „zdradziły" wreszcie sztandar narodowy. Na dobitkę uznały się Niemcy Traktatem Wersalskim, winnymi Wojny światowej i zobowiązały się wydać przestępców wojennych (m. i. Wilhelma II i Hindenburga).

Mimo wszelką inscenizację rewolucji runęły jednak w pył, razem z upadającemi tronami, wszelkie autorytety polityczne, wojskowe, moralne i inne Niemiec cesarskich. Republikańskie zaś Niemcy, republikańskie z nazwy i formy przyjętej ze względów oportunistycznych, nie posiadają dotąd siły wewnętrznej, zdolnej do stworzenia nowych autorytetów. Znikły więc w życiu niemieckiem wszelkie pierwiastki pewności i stałości. Znikły bez śladu niemieckie „Treu und Glaube". Całkowita wolność jaka stała się udziałem Niemiec ze względów, jak to mówiliśmy oportunistycznych, ciąży obecnie temu narodowi, który nigdy nie znał rządów prawdziwie demokratycznych, który był zawsze najbardziej lojalnym poddanym swych absolutnych monarchów, który znosił — rzec można z największą szczęśliwością system rządów policyjno-opiekuńczych, który nawet religję zmieniał wedle fantazji swego władcy (wedle słynnej zasady „cuius regio, eius religio"), w którym cesarz mógł trafnie wygłosić zdanie „moi kochani socjaliści". To psychiczne nastawienie narodu niemieckiego w sprawach politycznych, pozwalało przypuszczać, iż z chwilą gdy znikną oportunistyczne względy, które kazały bardziej wyrachowanej części wyborców popierać partje dawnej koalicji wejmarskiej oraz politykę lokarneńską (Stresemana), nastąpi radykalna zmiana oblicza politycznego Niemiec. Tak się też i stało. Pierwsze wybory, odbyte po ewakuacji wojsk anglo-francuskich z Nadrenji i po uprzedniem odzyskaniu przez Niemcy pełnego stanowiska mocarstwowego (stałe miejsce w Radzie Ligi Narodów) stały pod znakiem najbardziej agresywnych haseł i przyniosły rewelacyjne zmiany w układzie sił politycznych. Oczywiście, że wielki również wpływ wywarły na umysły wyborców niemieckich: ogólny prąd antydemokratyczny i antyparlamentarny jaki obecnie przechodzi przez Europę i ogólno-światowy kryzys gospodarczy, który Niemcy jako kraj przemysłowy b. silnie odczuwają (3.000.000 bezrobotnych). Jednak sedno rzeczy leży jak w każdym zresztą kraju, w stosunkach ściśle wewnętrznych Rzeszy t. j. w psychice panującej dotąd wśród umysłów niemieckich, w trudnościach jakie napotyka stosowanie nowej, niewypróbowanej konstytucji demokratycznej i republikańskiej, oraz w postanowieniach traktatowych nakładających bądź co bądź liczne i dość ciężkie zobowiązania na Rzeszy.

Na takim to podłożu moralnym, gospodarczym i politycznym powstał ruch hitlerowski.

Nie jest zapewne rzeczą zupełnie przypadkową iż kierownictwo Niemiec „najnowszych" objął

człowiek, który nie ponosi jakiejkolwiek winy ani za błędy popełnione przez rządy cesarskie, jakie sprawiły, iż Niemcy zostały otoczone stalowym pierścieniem i skazane na beznadziejną walkę z przeciwnikiem liczniejszym oraz lepiej uzbrojonym i odżywionym; ani za „zdradę" listopadową z 1918 r. i położenie hańbiącego podpisu pod traktatem obarczającym Rzeszę odpowiedzialnością za wojnę. Hitler bowiem nie był nigdy i dziś nie jest jeszcze obywatelem niemieckim. Adolf Hitler urodził się w r. 1889 w Braunau, małem miasteczku austrjackiem na pograniczu bawarskiem. Syn małego funkcjonarjusza celnego pragnął zostać artystą-malarzem, jednak niepowodzenia w Wiedniu zadały wojny światowej, jeszcze nim opadły fale rewolucji listopadowej, wystąpił Hitler na widownię polityczną. Wystąpienie to było niesłychanie słabe, prawie niedostrzegalne, a jednak bardzo znamienne. Już wówczas bowiem w r. 1919 sylwetka Hitlera zarysowała się wyraziście i z całą oryginalnością. Już wówczas postawił Hitler djagnozę kryzysu politycznego trapiącego Niemcy i wytknął sobie śmiałą linją postępowania. Za cel swej pracy obrał „odrodzenie" Niemiec, odbudowę złamanej potęgi Rzeszy. Wspólnie z 4-ma towarzyszami zakłada w Monachjum nowe stronnictwo polityczne Nazwa „Narodowe-socjalistyczna partja robotnicza" lub w skróceniu „Narodowo-socjaliści" charaktery-



Narzędzia walki politycznej hitlerowców

cios jego zamiarom. Niezrażony niczem udaje się Hitler do raju artystów—Monachjum i tam studjuje, zarabiając jednocześnie na życie jako malarz pokojowy. Wybuch wojny światowej zastaje Hitlera w Monachjum. Jako bawarczyk z zamieszkania a przytem i rasy (Braunau należało dawniej wraz z całą prowincją do Bawarji) wstępuje jako ochotnik do pułku piechoty bawarskiej i z nim jako prosty żołnierz, a następnie podoficer odbył całą wojnę. Uchylenie się od służby w armji austro-węgierskiej miało dla Hitlera ten skutek, iż stracił swe dotychczasowe obywatelstwo, nie nabywając nowego. Tutaj właśnie tkwi przyczyna bezpaństwowości Hitlera. Jest on, jak mówią Niemcy „staatenlos". Niemal bezpośrednio po zakończeniu zuje wybornie program i metodę Hitlera, są zapowiedzią jego przyszłych wspaniałych zwycięstw. Niemcy wszak to kraj, w którym najsilniej ujawniły się: nacjonalizm z jednej strony, socjalizm z drugiej. Czyż nie jest rzeczą genjalną myśl połączenia, w takim właśnie kraju, nacjonalizmu z socjalizmem? Czyż nie jest to droga, która w prostej linji wiedzie do upragnionego celu — osiągnięcia jednomyślności i solidarności tak potrzebnej narodowi skłóconemu i wytrąconemu z równowagi?

Hitler rozpoczyna swą akcję od ustnej propagandy. Droga to jedyna dla niego, na inną nie posiada środków, ale i bardzo odpowiednia. Jest on świetnym, urodzonym mówcą. Silny, dźwięczny głos, porywający frazes, żywa gestykulacja. Wy-



Owoce pracy Hitlera: Szkoła polska w Mikołajkach zdemolowana przez sfanatyzowany tłum

stępuje z niesłychaną śmiałością. Dystansuje skrajne partje prawicowe głosząc hasła najbardziej szowinistyczne, najbardziej rasowe. Nie wystarcza mu głoszenie hasła odwetu nad „dziedzicznym wrogiem" Francją, nie wystarczają hasła „Im osten ist Raum (na wschodzie jest przestrzeń—domyślnie Niemcom przeznaczona) i „Nach Osten wollen wir reiten" (na wschód chcemy pędzić). On chce jeszcze oczyścić rasowo Niemcy, chce wyplenić wszelkie nie-germańskie naleciałości etnograficze, kulturalne, gospodarcze. Chce wytępić do szczętu semitów, chce nawet zerwać z chrystjanizmem jako wytworem żydowskiego ducha, który tylko zniewieścił naród niemiecki. Radby zgermanizować chrystjanizm, ba może wprost powrócić do czci staro-germańskiego Odyna czy Wotana. Gromi zarazem Hitler słabość i tchórzostwo prawicy wobec państw obcych, wobec socjalistów i komunistów. Jednocześnie zaś zwalcza najzacieklej socjalizm i marksizm—owoc myśli i ducha „przeklętego judaizmu". Oskarża socjalistów o „zdradę" państwa w r. 1918, o „wbicie zdradzieckiego sztyletu w plecy walczącego żołnierza", o podpisanie hańbiącego i rujnującego Niemcy" pokoju wersalskiego. Można powiedzieć, iż hitlerowcy są jednocześnie partją najbardziej prawicową, a zarazem niemal skrajnie lewicową. (Tak jak zresztą komuniści niemieccy, będąc partją najbardziej lewicową głoszą zarazem hasła niemal skrajnie prawicowe, jeśli idzie o sprawy np. Pomorza, Śląska czy Alzacji i są obok hitlerowców drugim zwycięscą w ostatnich wyborach uzyskując 77 mandatów i 4.600.000 głosów zamiast 54 mandatów i 3.300.000 głosów, oraz zajmując obecnie trzecie co do wielkości miejsce wśród stronnictw niemieckich). To połączenie dwóch skrajnych radykalizmów, narodowego i społecznego pozwala hitlerowcom toczyć walkę na wszystkich frontach i to walkę zwycięską niemal na całej linji.

Czy jednak połączenie nacjonalizmu i socjalizmu uskutecznione przez Hitlera, połączenie ognia i wody, za jakie dotychczas uchodziły te ideologje jest szczere, jest zgodne z logiką? Czy wytrzyma próbę życiową w praktycznem zastosowaniu? Trudno dać odpowiedź całkowicie pewną. Teoretycznie rzecz to możliwa. W historji znamy ustroje państwowe o nieomal komunistycznym systemie gospodarczym, a przeniknięte duchem wyłączności i solidarności narodowej i rasowej. Gdyby Hitler zre-

alizował w pełni program obu radykalizmów: nacjonalistycznego i socjalnego — to okazałby się mężem miary naprawdę genjalnej, a „Hitleryzm" stałby się wydarzeniem epokowem, przy którym zgasłyby zarówno faszyzm jak i komunizm. Nie znajdujemy jednak w programie „narodowych-socjalistów" przebłysku genjusza. Odrazu należy stwierdzić, iż ani sam Hitler, ani jego najbliżsi współpracownicy nie sformułowali kompletnego, zwartego programu. Nie trudzili się dotąd ani skonkretyzowaniem gromkich i szumnych haseł, ani usunięciem licznych sprzeczności wewnętrznych, tkwiących w pośpiesznie rozwijanym, kompilowanym programie. Rozróżnienie kapitału twórczego i rabunkowego, uskutecznione przez teoretykę hitlerowskiego Federa, nie wiele nam mówi. Kapitał twórczy to kapitał pracujący w rolnictwie i przemyśle, ma to jednocześnie być kapitał niemiecki; kapitał zaś rabunkowy to kapitał pracujący na giełdzie i bankowy, ma to być jednocześnie kapitał żydowski i obco-krajowy. A więc walka z kapitałem, walka bezlitosna, ale z kapitałem rabunkowym, kapitałem obcym amerykańskim, francuskim, żydowskim. Śmierć pijawkom ludu! Śmierć bankierom-żydom! W zakresie politycznym również nic konkretnego nie znajdujemy. Haseł negatywnych wiele. Precz z nieudolnym parlamentem, precz z głupią republiką, precz z przeżytym demokratyzmem! Precz z traktatem wersalskim, precz z planem Younga! Precz z Francją! Precz z Polską!

Reakcja prawicowa w Bawarji po krótkotrwałej rewolucji Hurta Eisnera ułatwia Hitlerowi propagandę. W r. 1923 kusił się już Hitler, wspólnie z gen. Ludendorfem o urządzenie „putschu" w Monachjum. Impreza ta jednak zawodzi. Godzina Hitlera jeszcze nie wybiła. Hitler idzie do więzienia, gdzie pisze swe dwutomowe dzieło p. t. „Moja walka". Po opuszczeniu więzienia prowadzi nadal wytężoną propagandę. W wyborach 1928 r. osiąga pierwszy sukces. Posłowie narodowi-socjaliści nie przywiązują wagi do prac parlamentu, zgodnie zresztą z anty-parlamentarnym charakterem swej partji. Ale pracują natomiast niezmordowanie jako agitatorzy. Jeden np. z posłów Strasser przemawia „tylko" na trzystu wiecach. W ciągu 1929 r. urządzili hitlerowcy około 20.000 wieców. Organizacja partyjna rozwija się szeroko. Zdyscyplinowane, gotowe każdej chwili do akcji bojówki, przybrane w brunatne koszule z oznaką „Hackenkreuz" (rodzaj swastyki znanej u ludów aryjskich) dzienniki, broszury, obmyślana, metodyczna choć pozornie gwałtowna akcja, kult dla „apostoła" nowej wiary Adolfa Hitlera, hasła coraz bardziej skrajne, coraz gorętsze. W parlamencie zgłaszają hitlerowcy wniosek, domagający się kary śmierci dla każdego kto domaga się rozbrojenia Niemiec, kto zwalcza zasadę powszechnej służby wojskowej, kto głosi winę Niemiec wywołania wojny światowej! W prasie domagają się uśmiercenia wszystkich dzieci zrodzonych ze związków niemek z członkami ludów nie-aryjskich, pozbawienia płodności tych „upadłych" niemek na przyszłość! Nie same tylko hasła, odwołujące się przedewszystkiem do instynktu, do uczuć, budzące chęć czynu, działania, nie same te hasła zapewniają Hitlerowi zwycięstwo. Na tak ożywioną propagandę, na tysiączne wiece, setki agitatorów, na bojówki i t. d., potrzeba wiele, bardzo wiele marek. Marki te płyną do kas partji obficie. Ciężki przemysł, finansiści niemieccy, arystokracja, Hohenzollernowie wnoszą zasiłki nie bez powodu zapewne i nie bez celu. Zwłaszcza ostatnio, gdy talent agitatorski Hitlera i sprawność jego bojówek zostały w pełni ocenione, gdy znikły względy na zagranicę — strumień złota popłynął szerzej. W wyniku wspaniałe zwycięstwo Hitlera w ostatnich wyborach i zapowiedź jeszcze dalszych jego sukcesów. Strona finansowa zwycięstwa hitlerowców jest znamienna. Czyż nie jest ona dowodem, iż cały radykalny program społeczny hitlerowców jest tylko taranem do złamania ugrupowań umiarkowanych i socjalistycznych? Czy w odpowiedniej chwili nie opadnie zbyteczna dekoracja i nie pozostanie z ruchu hitlerowskiego tylko oblicze nacjonalizmu, nacjonalizmu najbardziej bezwzględnego, zaborczego, brutalnego? Czy Hitler nie jest tylko heroldem, który zwiastuje restaurację cesarstwa i nadejście godziny odwetu za ostatnią nieudaną próbę podboju Europy?

Antoni Malatyński.



M. Briand



ODWET

„Polska musi być zniszczona—
Pomorze odebrane"
(słowa Hitlera).

Dyszycie marzeniem odwetu,
A wasze imię POTĘGA...
Wasz krzyż ma ostrze bagnetu,
Co piersi ludów sięga.
Chcecie zunifikować świat,
Zmechanizować ducha,
Gdzie była myśl, tam stworzyć... tylko ład,
Bezwolę, która ślepo słucha,
A tak nikczemna, że nie przeklina
Nowego władcę świata — Berlina.
Wieki niszczycie na wszystkie strony
Własny twór ludów, nienarzucony,
Wykwit kultury nie od was rodem,
Którym lud stwierdza: „Jam już Narodem".
Podeptać chcecie narodów głowy,
Nad brzegiem Sprewy stworzyć Rzym nowy,
Złamać słowiańsłwo na wschodzie,
Darząc kultury swojej ochłapem.
Polska jest pierwszym wielkim etapem
W waszym Nach Osten pochodzie.
Jeszcze czekacie,
Zbieracie siły,
Jeszcze was straszą
Z Verdun mogiły.
Jeszcze czekacie
Wyników ciemnych,
Spraw sprzymierzeńców
Waszych podziemnych.

Lecz oni słabsi, niż wam się zdaje,
Ich trud — Syzyfa praca,
Bo Naród świadom swych praw się staje,
Piętno niewoli zatraca.
Jego duch krzepnie, myśl potężnieje.
Polska siłami wzrasta,
Jagielonowym blaskiem jaśnieje,
Orlemi pióry obrasta.
Więc tryumfujcie! Podnieście głowy!
Przyjdzie odwetu dzień piorunowy...
Pobierze Karpaty z brzegiem,
Morze połączy z naszemi sioły,
Lunie tętniącym szeregiem
Nasza konnica brzegiem Pregoły.
Pójdzie impetem ułańskim,
Pieśń Wolnej Polsce zanuci,
Królewiec spojony z Gdańskiem
Do stóp jej rzuci.
Zejdzie k'nim w orlim poszumie
Duchów stuletnia Władczyni,
Swym oblubieńcem na wieki
Bałtyk uczyni.
Już nie w męczeńskiej,
Ale w zwycięskiej
Glorji zabłyśnie
I utęskniona
Do swego łona
Morze przyciśnie.

BOHDAN GĘBARSKI.

JEST TAKI BŁĘKIT...

„Jest taki błękit — ale ja go nie widzę nie czuję;
„Jest taka gwiazda — ale ona w nieznanej orbicie kołuje;
Jest taki płomień — ale pali się raz tylko jeden na stypie;
Jest takie szczęście — ale go oddech własny na świata cztery strony
[rozsypie".
(J. K. Iłłakiewiczówna).

Jest taki błękit, co przeźroczem czystem
W dal niezmierzoną i bezkreśną sięga;
Hymnem przestrzeni jasnym i świetlistym
Woła do duszy, jak otwarta księga,
Na której kartach hieroglify bytu
Biegną, znaczone perlistemi łzami
I zórz czekają promiennego świtu.
Jest taki błękit... gdzieś za błękitami!...

Jest taka gwiazda, która światłem swojem
Oko przykuwa ku nieba rubieży,
Serce przejmując dziwnym niepokojem —
Aż ono tętnem mocniejszem uderzy.
To gwiazda własna każdego człowieka,
Spowita ducha najlepszymi snami;
Oczy ją gonią, myśl do niej ucieka...
Jest taka gwiazda... pomiędzy gwiazdami!...

Jest taki płomień, który błyśnie zorzą,
Gdy zda się wszystko ciemności ogarną,
Buchnie pod niebo, na wędrówkę bożą,
Myślą poświęceń, do czynu ofiarną.
Mrok rozsłoneczni, paląc dzienne troski
Nieznane szczyty wydobędzie z dali,
Spragnionym duszom oznajmi zew boski...
Tylko ten płomień w ukryciu się pali.

Jest takie szczęście... nie tęsknij naprózno,
Ale idź, szukaj po szerokim świecie,
Weź kij pielgrzymi i torbę podróżną,
A z serca wymieć zapleśniałe śmiecie.
Ogień rozniecisz na wyżnim rozstaju,
Co ci padoły oświeci najszczytniej
I będzie jako cicha gwiazda w maju,
Aż myśl znużoną cudem rozbłękitni.

MARJUSZ MARSKI.

SINCLAIR LEWIS

LAUREAT NAGRODY NOBLA 1930 r.

Nie było bynajmniej dziełem przypadku, że tegoroczną nagrodę literacką Nobla otrzymał Sinclair Lewis — autor „Babbitta".

Jeżeli Upton Sinclair, czy też Dreiser dali Europie klucz do zrozumienia duszy współczesnej Ameryki, to dopiero Sinclair Lewis pierwszy otworzył szeroko drzwi Nowego Świata i ukazał zdumionej starej Europie prawdziwe oblicze tamtej, drugiej półkuli. Zatrwożyła się Europa na widok skarykaturowanej, wynaturzonej kultury amery-



kańskiej, gdzie poezją są anonse w gazetach, a celem marzeń, owem spiritus movens całego życia wszechpotężny dolar. Bo przecież mityczna metropolja Zenith ze swemi demokratycznemi klubami i aleją miljonerów, ze swemi kościołami baptystów, adwentystów i prezbiterjanów, z Y. M. C. A. i potajemnemi szynkami — to cała współczesna Ameryka, a pan Babbitt, to nie indywidualny bohater powieści, lecz standardowy egzemplarz obywatela U. S. A. tak samo jak standardowym, seryjnym egzemplarzem jest jego samochód, jego automatyczna zapalniczka, jego przyjaciele z Booster Klubu i najnowszego systemu piecyk do grzania nóg w sypialni.

To właśnie stanowisko socjologiczne, zapożyczone, jak sądzi p. J. W. Chwalewik, od twórcy współczesnej powieści socjologicznej Wellsa, jest jedną z najcharakterystyczniejszych cech twórczości Lewisa.

Dowodzi więc p. Chwalewik, że łączy Lewisa z Welsem „zgodna antypatja" do tradycyjnych wierzeń, instytucyj i zasad, które z cywilizacji rzymskiej weszły do europejskiej, a stamtąd często zdeformowane do amerykańskiej. Miłość prawdy, piękna, odwagi, szczerości — głoszą jak ewangelję świeżą, dla której niema miejsca w dawnych kształtach cywilizacyjnych".

Powiem więcej — Lewis jest nietylko pisarzem „socjologicznym", lecz nawet „socjalnym" klasowym. Nie używa on jednak całego aparatu dowodzeń Uptona Sinclair'a — lecz skrzętnie analizuje, zbiera najdrobniejsze okruchy życia, nie zapominając nigdy kardynalnego założenia, że bohaterem powieści jest nie jednostka, czy zbiór jednostek, lecz społeczeństwo.

Ale z drugiej strony, jeżeli autor „Babbitta" wprowadza nas w najistotniejszy nurt życia amerykańskiego, jeżeli ukazuje przekrój olbrzymiej machiny, rządzonej jednem wewnętrznem prawem walki, to ułatwia on czytelnikowi zrozumienie ukrytej za treścią słów tendencji użyciem mistrzowskiej, trudno uchwytnej karykatury.

„Babbit" — powieść, która rozniosła imię autora po całym świecie, nie jest niczem innem, jak syntetycznym skrótem, wynikiem z życia symbolicznego miasta Zenith, powieść pisana bez próżnych słów, bez użycia starych, zbędnych rekwizytów, a przytem z ironicznym uśmiechem satyry.

I tutaj mimo woli nasuwa się porównanie, banalne być może, lecz dziwnie dla twórczości Lewisa istotne — film. Film ze swoją zmianą sytuacyj, z wewnętrzną logiką akcji, a jednocześnie z nadzwyczajną umiejętnością ukazywania wydarzeń, zdawałoby się oderwanych, a jednocześnie powiązanych ze sobą wspólnem tętnem, jednym życiowym pulsem.

Tenże Babbitt da nam na to przykłady. Cytuję w wyjątkach: Pan Babbitt po długich zabiegach toaletowych zapada w sen. W tej samej chwili w mieście Zenith pan Howard Updike umizgał się do pani Lucylli Mac Kelvey...

W tej samej chwili również w Zenith handlarz kokainy i prostytutka pili cocteil w salonie Headley Hausona na ulicy Front. ...Dama rzuciła filiżankę w łeb handlarza kokainy. On wyciągnął rewolwer z kieszonki rękawa i zabił ją.

...W tej samej chwili również w Zenith dwóch mężczyzn siedziało w laboratorjum. Od trzydziestu siedmiu godzin pracowali nad wytworzeniem syntetycznych osełek do ostrzenia.

...W tej samej chwili w Zenith odbywała się konferencja czterech związkowców, którzy omawiali, czy dwanaście tysięcy górników ma przerwać pracę w kopalniach, w promieniu stu mil od Zenith...

...W tej samej chwili w mieście z cementu i stali — zakłady fabryczne Pullman Tractor Company w Zenith — wrzała praca...

...W tej samej chwili Mac Mondey zamykał zebranie. Pan Mondey, głośny ewangelista, naj

znakomitszy protestancki kapłan w Ameryce, był kiedyś bokserem. (Ponieważ jako bokser nie zrobił karjery, wziął się do służby bożej jako rentowniejszej).

...W tej samej chwili w temże Zenith trzysta czterdzieści, albo pięćdziesiąt tysięcy zwykłych śmiertelników spało pogrążonych w bezgraniczny nieprzejrzany mrok. W nędznym zaułku za torem kolejowym jakiś młodzieniec, który od sześciu miesięcy nie mógł znaleźć pracy, odkręcił kurek gazu i udusił siebie i żonę.

...W tej samej chwili Jerzy Babbitt przewrócił się ciężko na łóżku...

To zrytmizowanie przejawów życia, do złudzenia przypominające technikę filmową, jest bezspornie charakterystycznym rysem twórczości Lewisa.

Indywidualista, tęskniący podświadomie do europejskiego mniej materjalistycznego, gdyż posiadającego mniej kontrastów społecznych życia (Dodswort) z gorzką ironją, lecz jakże skrzętnie notuje, objawy „rdzennego amerykanizmu".

Za teren badań nie obiera sobie wielkiego miasta, jak czyni to J. dos Passos, autor powieści p. t. „Manhattan Transfer, do której Lewis napisał oryginalną i charakterystyczną dla niego przedmowę. Domeną Sinclair'a Lewis'a jest prowincja— ów „Midelle West", gdzie w najczystszej postaci zachował się typ idealnego obywatela U. S. A., prawomyślnego i szczęśliwego, gdy „złożył należytą cząstkę na Ołtarzu Ogólnej Pomyślności Miasta i swego Własnego Rachunku Bankowego" (Babbitt). A przytem ten Ideał Obywatela (przy okazji wspomnę, że Lewis z ironicznem upodobaniem używa wielkich liter, mówiąc o niektórych pojęciach, chodzi w twardym Kieracie Obyczaju, ciemny jak tabaka w rogu, rządzony jest przez tysiączne tajne i pół tajne organizacje, kluby, sekty, którym przewodzą karjerowicze z pod ciemnej gwiazdy w rodzaju owego Mac Mondey'a czy też Elmer'a Gantry, bohatera powieści pod tymże tytułem.

Taki jest mniej więcej świat, w którym obraca się autor „Babbitta", Main Street", „Martin'a, Arrowsmith'a" i „Elmera Gantry" — lecz jest jeszcze inny Lewis — autor „Mantrappa".

Wyrywa się w tej powieści na jaw utajony, podskórnem jeno źródłem płynący w innych utworach liryzm.

I tutaj rzuca się w oczy nadzwyczajna powściągliwość formy i tutaj znowu spotykamy się z drobiazgową analizą, zapożyczoną jako metoda od Proust'a, lecz jest to pierwsza powieść Lewis'a, w której dominuje pominięty świadomie w innych utworach czynnik przyrody.

W „Mantrappie" Lewis dochodzi do londonowskiego utożsamiania losów bohaterów z przyrodą. Wprawdzie i tu dramat kończy się powrotem w jarzmo Codzienności, lecz wyraźniej niż gdzieindziej zaznacza się negatywny do niej stosunek autora, a prócz tego sublimuje z książki tej dziwny u autora „Elmer'a Gantry" sentyment do Ameryki.

Nie jest Sinclair Lewis artystą wybitnym, pod tym względem Dreiser przerasta go o głowę, nie jest może ciekawy dla swej ideologji, lecz dla nas, Europejczyków posiada znaczenie jako rasowy współczesny powieściopisarz, a przedewszystkiem jako Odkrywca Współczesnej Ameryki.

Seweryn Pollak.

M E L O D J A.

Zbudujemy zamek pośród skał,
Będzie wiatr daleki, słony, śmiały wiał
Będą mury — przez marmury — błyśnie szał

Zbudujemy gdzieś daleko, a wysoko.
Żadne prócz naszego nie ujrzy go oko
Równie w górę, jak głęboko w wodzie będzie stał.

Linje będą ciche, szmery powłóczyste,
Kolory pachnące, myśli będą czyste,
W nich zakwitną, w kryształ wykwitną dusze przejrzyste.

Ż E B Y.

Żebyż życie ciągłym ruchem było,
Żebyż tylko się kochało, tylko się walczyło!
Żebyż wstali na dźwięk słowa Cydy i Kmicice,
Żebyż znowu zadźwięczały jaśniące szablice!

Żeby świat był pięknem, miłością, junactwem,
Żebym mogła na wyprawy wyruszać z kozactwem!
Żeby ksiąg mniej było, czynów więcej z stali —
Żeby ludzie się podnieśli, półbogami stali!

Żeby kierowała światem — ducha siła
Wtedybym kochała, wtedybym ja żyła!

HELENA RADZIUKINAS

PERU

W słowie wstępnem do książki mojej pod tytułem „Peru” pisałem, że niema dziś lądów nieodkrytych i niema już lądów dalekich — w wieku elektryczności, radia i samolotów.

Dawniej, gdy ludziom nie było tak ciasno, jak dzisiaj w Europie, (niesłusznie zwanej starym krajem, gdyż ląd Ameryki jest o wiele starszy), gdy słowo emigracja nie istniało jeszcze, jako oznaka opuszczenia kraju z powodu przeludnienia i braku zarobków, już wtedy narody o wielkiej ekspansji, państwa o dalekowidzącej polityce, jak Hiszpanja. Portugalja, Holandja, Anglja i inne, dążyły do poznania krajów dalekich, bogatych w surowce rzadkie lub zgoła nieznane w Europie. Dążenia te wynagrodzone zostały wielkiemi zdobyczami, dały możność rozwoju marynarki i oddały tym krajom w rękę możność bezpośredniej wymiany towarów i produktów oraz możność zarobków olbrzymich na pośrednictwie między innemi państwami, które ani terenów zamorskich ani marynarki silnej nie posiadały.



Dolina rzeki Urubamby

Polska historyczna bardzo znikomy udział brała w dziejach odkryć i eksploracji.

Stosunki Polski przedrozbiorowej z krajami zamorskiemi były bardzo znikome, to też skazana była zawsze z powodu braku własnej marynarki na rolę odbiorcy pośredniego, który za pośrednictwo zazwyczaj bardzo drogo płacił.

Dzisiejsza Polska odrodzona znów staje w rzędzie państw wielkich i nawiązała w zmienionych warunkach politycznych świata stosunki dyplomatyczne mniej lub więcej teoretycznie ze wszystkiemi krajami świata.

W r. 1921 zostały nawiązane bezpośrednie stosunki Polski z Peru, tym prastarym krajem, „legendarnym” w znaczeniu prahistorji, o cywilizacji i kulturze praatlantyckiej i pra-aryabarckiej. I nie jest to kraj dziś już daleki, gdyż linje całego świata łączą go z innemi krajami, a legendarnym jest już w bardzo niewielu krajach.

Polska w Peru jest dobrze znana, a w szkołach peruwiańskich przed wojną światową wykładano historję martyrologji polskiej i nazywano Polskę — „Santa Polonia” jako znak jej męczeństwa, dzisiejszy zaś peruwiańczyk nazywa Polskę „nuestra querida Polonia”.

Przyjaźń swą dla Polski Peru demonstrowało i demonstruje stale, stając zawsze wiernie przy jej boku, czy to w Lidze Narodów, czy na jakichkolwiek konferencjach międzynarodowych.

Ponadto Peru dało Polsce to, czego żadne państwo nie uczyniło, dało Polsce tereny olbrzymie — kraik cały w znaczeniu europejskiem na wyłącznie polskie osadnictwo.

Mimo to, aczkolwiek coraz rzadziej, Peru jest jeszcze w Polsce mało znane, a na temat Peru krążą wbrew literaturze naukowej całego świata, najfantastyczniejsze pogłoski dotyczące klimatu (tak jak gdyby kraj olbrzymi o odległościach, jak z Madrytu do Szkokholmu mógł mieć jednolity klimat) „dzikich zwierząt”, żmij, krokodyli, chorób, indjan i t. d., a pisma polskie kilka osób, którym się w Peru nie spodobało uważają za męczenników, nie uważając jednak za męczenników tych, którzy wracają z Niemiec, Francji. Argentyny i innych krajów świata.

Państwa, których synami był Kolumb, Pizarro, Vasco de Gama, Cortez, Livingstone, Stanley, Cook i wielu, wielu innych uważali tych swoich dzielnych synów za pionierów — nie za męczenników.

Gdym po raz pierwszy wyruszył w podróż egzotyczną (do Afryki) przed plus minus 25 laty uważano mnie za ducha niespokojnego, który rzuca spokojne życie nie będąc do tego zmuszonym, ale za męczennika, gdym wrócił, nikt mnie nie uważał.

* * *

Pilnie strzeżone przez tysiące niebezpiecznych wrogów człowieka, w niedostępnych dla stopy ludzkiej puszczach dziewiczych, nikomu nieznanych, w grotach skalnych, jak miasta całe obszernych i tysiącami korytarzy podziemnych połączonych, spoczywa snem wiecznym kraina prawieczna — prastare Peru.

W pomroce wieków ginie jego historja, a jeżeli odrzucimy zamarłe już dziś i bezludne ziemie Lemurji (dzisiejszy biegun południowy — Antarktyda) to Peru, jakoteż Guatemala i Meksyk należą do tych nielicznych w dziejach kuli ziemskiej lądów, które przetrwały od początku świata — są więc najstarszemi terytorjami równie staremi jak Indje, Borneo, niektóre wyspy Malajskie, wyspa Wielkanocna i wyspy Galapagos (koło Ekwadoru).

To miejsce na ziemi, gdzie leży dzisiejsze Peru jest miejscem styku kultury pra-atlantyckiej i praaryabarckiej. Dlatego to w dzisiejszem Peru znajdujemy wiele resztek narodów zupełnie różnych rasą, kulturą i językiem (mówiąc naturalnie o autochtonach nie zaś o napływowych europejczykach).

I niesłusznie nazywają tych różnolitych mieszkańców „indjanami" lub „szczepami indyjskiemi", są to bowiem resztki ludów, które chroniły się przed potopem (3-im lub 4-ym) lub innemi kataklizmami i przywędrowały w te okolice — jedni z zachodu, inni zaś ze wschodu. Wszystkich tych mieszkańców jednakowo nazywamy indjanami, aczkolwiek Quechus lub Aymara mniej są podobni do Campa, Antis lub Arnak niż Polak do Węgra lub Abissyńczyka.

Pozostałością Quechua jest Egipt, Baskowie, Etruskowie, mieszkańcy Gruzji i prawdopodobnie Górale Zakopiańscy.

Kultura Incasów jest nowszą i jedynie źródłosłów, „In", „Inc", jako oznaka władzy i władcy jest starą — prastarą, a posiada go zarówno Hindus (w sanskrycie, jak i tajemny Zulu (Afryka) i prawdopodobny potomek Lemurji. W pomroce wieków ginie więc historja prastarego Peru, starszego niż Egipt, Assyrja i Babilon, kraje Adamitów, Mayów i Atlantów, których do dziś niezbadane pomniki kryją się wśród puszcz dziewiczych, miasta całe, szosy kamienne cementem spajane, grobowce wspaniałe i bogate, tam gdzie zdawałoby się stopa ludzka nie stanęła, olbrzymie budowle cyklopów, niekiedy z monolitów wykonane...

Puszcze dziewicze pokryły wymarłe miasta, wspaniałe gmachy, wygodne drogi, aquaeducty i kanały... cedry niebotyczne i piękne mahonie rosną nad temi wymarłemi miastami, cudowne



Typy indjan z plemienia Aymara

„coca" zapomnienie dająca, dziko rosnąca wonna wanilja i te tysiące roślin, dziś nam z własności swych cudownych nieznanych, jak np. roślina „nowoodkryta" dająca możność jasnowidzenia!

Tak! Wiele rzeczy dziś nam nieznanych, znali uczeni przed 10,000 lat i więcej! Lecznictwo roślinne tak cudownie stosowane w prastarych czasach, dziś nanowo się odradza i w najnowszej medycynie znajduje zastosowanie.



Brzeg Ucayali

I medycyna, i astronomja i matematyka i wiedza techniczna istniały przed tysiącami lat i dziś wzbudzają w nas podziw!

Archeologja prawie nie tknęła jeszcze tych skarbów kultury ukrytych pod powierzchnią ziemi w starożytnych krajach czerwonej rasy — Synów Słońca!

Zazdrośnie strzeże przyroda sama tych tajemnic jej powierzonych i lata jeszcze miną, setki być może lat, gdy biała pseudocywilizacja wedrze się do wnętrza tych puszcz, tych grot, skał, przepaści i jezior tajemniczych.

Na gruncie tej prastarej i tajemniczej kultury wyrosła historycznie już nam znana kultura Incasów peruwiańskich.

Olbrzymie to mocarstwo imperjum Incasów, którego założycielem był Inca Manco Capac *), ostatnim zaś niepodległym władcą Wielkiego Peru Inca Atahualpa (zmarły w 1533 r.), obejmowało terytorjum dzisiejszych państw południowej Ameryki: Peru, część Chili, Boliwię, Kolumbię, Equador, część Venezueli, Brazylji i Argentyny.

Najbogatsze państwo na kuli ziemskiej, skąd niezmierne bogactwa wywieziono do Europy, padło zawojowane przez garstkę hiszpańskich conquistadorów w r. 1526.

Pierwszym europejczykiem, który w te gąszcze niedostępnych puszcz dziewiczych dzisiejszej Panamy śmiał się wedrzeć, był odkrywca i zdobywca hiszpański Vasco Nunez de Balboa.

Na czele 190 Hiszpanów w towarzystwie 900 indyjskich tragarzy i gromady z Europy przywiezio-

*) Istnieje podanie, że Manco Capac wraz z żoną swą Mama Ocllo v. Oglez wypłynął z wyspy Titicaca, czyli „Wyspy Słońca" na jeziorze Titicaca, aby założyć Cesarstwo Incasów.

nych olbrzymich brytanów, przebył on pokryty lasem i na 7000 metrów w tym miejscu wzniesiony łańcuch gór i wydostał się na szczyty, skąd wzrok jego ujrzał po raz pierwszy niezmierzone przestrzenie oceanu Wielkiego.

I w dniu 29 września 1513 r. z chorągwią Kastylji w ręku, Balboa, stanąwszy po kolana w falach oceanu Wielkiego, objął w posiadanie nowoodkryte morze i oblewane przez nie lądy od bieguna północnego do południowego.

Na wybrzeżach oceanu Hiszpanie nietylko znaleźli cenne perły, lecz cenniejszych dowiedzieli się rzeczy — dowiedzieli się z opowiadań czerwono-skórego wodza o wielkiem mocarstwie leżącem na południe, gdzie mnóstwo znajdowało się złota i drogich kamieni, oraz przypatrywali się z gliny ulepionemu wizerunkowi dziwnego zwierzęcia — niby wielbłąda, niby wielkiej owcy. Było to wyobrażenie lamy, których stada całe hodowano w wielkiem państwie najpotężniejszego staro-amerykańskiego monarchy. Między słuchaczami był również pewien wojak hiszpański, nie umiejący czytać, ani pisać.

Był to Francisco Pizarro. I podczas gdy Balboa założył miasto Panama, Pizarro powziął myśl prowadzenia dalej dzieła swego naczelnika. Znalazł śmiałków, którzy za nim poszli, lata całe przebijał się (1517 — 1525) ku końcowi, aż doszedł do stolicy Peru. — Napadł na obóz wojenny Inki — władcy Peru (Atahualpy) podstępem wziął go do niewoli, kraj zaś jego podbił (1526—1527) i zrabował zupełnie.

Łupy złota zdobyte przez Pizarra były tak wielkie, że nie mogły się z niemi porównać nawet wszystkie razem wzięte zdobycze jego poprzedników. Nic też dziwnego, że odtąd chciwi łupów awanturnicy hiszpańscy jakoteż i spokojniejsi osadnicy biegli do złotodajnego kraju Inkasów—Peru.

(D. n.)

Inż. Tomasz Oxiński
Konsul Generalny

SALONY WARSZAWSKIE

Nic łatwiejszego, jak napisać sprawozdanie z wystawy obrazów. Czego się nie czyta w takich sprawozdaniach. Czytający jednak niczemu dziwić się nie będzie — każdy zrozumie bowiem natychmiast, że w dziedzinie tak specjalnej, tak niedostępnej, dzieją się i dziać się muszą rzeczy dziwne i niezrozumiałe — każdy wnet odgadnie, że przecież, nie sprawozdawca czy krytyk, ale czytelnik jest najwidoczniej nie wtajemniczonym i dlatego zrozumieć niemoże zawiłych, a pełnych uczoności, wywodów specjalisty, który głos zabiera w materji tak niezmiernie delikatnej.

Jakże nadzwyczaj wdzięczne i ułatwione jest zadanie krytyka.

O ile jest bardzo łatwo pewnego typu krytyki pisać, o tyle trudno malować dobre obrazy i rzeźbić dobre rzeźby. Stosunek zatem artysty, rasowego artysty, do bylejakiego krytyka winien być wyniosły. Niestety, nie wszyscy artyści o tem wiedzą — niektórym się wydaje, że dobry Bóg pierwej stworzył krytyka, a dopiero później malarza. Jakież niezrozumienie boskich zamiarów tkwi w podobnym przesądzie.

Jeżeli weźmie się pod uwagę, że na obu wielkich wystawach, jakie otwarte zostały w końcu listopada w Warszawie, zgromadzono ogółem 667 dzieł sztuki. Jeśli się zważy, że jest to wysiłek olbrzymi, że te obrazy, te rzeźby, te przedmioty artystycznego przemysłu w sumie przedstawiają, obok większych czy mniejszych walorów artystycznych, jeszcze wartość realną setek tysięcy złotych zużytych przez artystów polskich dla wyprodukowania takiego ogromu pracy twórczej — to conajmniej dziwić się należy nonszalancji i lekceważącemu gestowi sprawozdawcy, który załatwia się z takim materjałem w paru wzgardliwych słowach przygany, rzadziej łaskawej aprobaty, coś tam wyłowi, coś zdepce, nad resztą przejdzie do porządku dziennego. Sprawozdawca wprawdzie usprawiedliwia się zwykle brakiem miejsca — (istotnie, miejsca w prasie całego świata zawsze jest mniej, niż godnych uwagi przejawów życia, i to we wszystkich jego dziedzinach, z wyjątkiem chyba sportu). Niechby jednak przynajmniej tym kilku słowom nadał więcej skupienia, szacunku dla pracy ludzkiej, czci dla ofiary, jaką ponoszą artyści w imię nietylko żołądka, ale i innych jeszcze celów.

O ton krytyki, o jej przyzwoitość, ma prawo i obowiązek dopominać się każdy artysta, nawet wówczas, gdy zrezygnuje z prawa do rozumnej i uczciwej oceny jego pracy.

* * *

Dwa obecnie Salony Warszawy najwyraźniej ze sobą rywalizują, a właściwie ten drugi rywalizuje z Zachętą, która niejako została zaskoczona konkurencją Listopadowego Salonu. Zachęta ma tradycję kultu dla sztuki o charakterze zachowawczym, nie stroni jednak bynajmniej od sztuki nowszej — świeżo założony Salon Listopadowy hołduje kierunkom bardziej nowoczesnym. Jest to więc jak gdyby uzupełnienie przez Salon „Marsowy“ Salonu „Elizejskiego“. Oczekiwać by jeszcze należało stworzenia trzeciego salonu, któryby skupiał w sobie wysiłki najskrajniejsze, najbardziej rewolucyjne, a więc coś na kształt „Niezależnych“, czy

„jesiennego“. W ten sposób zostało zorganizowane życie sztuki w Paryżu, w sposób całkiem normalny i oczywisty, gdyż w sztuce wszyscy jednakowe mają prawo do życia: i dostojny dzień wczorajszy, i pełen ekspansji dzień dzisiejszy i niepokojąca zagadka kształtującego się jutra. Ars jest longa, dłuższa znacznie niżli żywot trzech ludzkich pokoleń — jest ponoć nieśmiertelna. Wszelkie więc zatargi o pierwszeństwo w sztuce — młodych, starych, czy tych którzy stoją w środku — nie są istotne. Ich źródło tkwi najczęściej w ordynarnej walce o byt, w bezwzględności człowieka w stosunku do sztuki, w braku pietyzmu dla niej, w śmiesznem, krótkowzrocznem samouwielbienia, w zaniku zmysłu krytycznego — jest wyrazem nastroju przemijającej chwili i ze sztuką, jako taką, niema nic wspólnego.

* * *

Salonowi Listopadowemu można narzucić pewną niekonsekwencję: nie zechciał on ograniczyć swojej roli do przeciwstawienia konserwatywnej sztuce Zachęty sztuki postępowej — zapragnął reprezentować całą sztukę polską we wszelkich jej przejawach. Przy innym układzie stosunków wewnętrznych, przy solidarnem współdziałaniu wszystkich artystów, byłoby to może do zrealizowania, wszystko jedno nawet na jakim terenie — w warunkach jednak obecnych jest fikcją nie do ziszczenia.

Salon też „listopadowy“, poza najbardziej wpływową w tem środowisku, a może i najliczniejszą grupą środka, (t. zw. grupą profesorów), obfituje nadmiernie w eksponaty sztuki najskrajniejszej a ledwie markuje udział garsteczki markantów z Zachęty. Jest więc dysproporcja, obrazu całości niema — temwięcej, że współrzędnie odbywa się wystawa także w Zachęcie, na której obok wielu zasług w sztuce polskiej artystów, bierze udział także liczna grupa „najmłodszych".

U Baryczków na czoło wystawy wysuwa się Grombecki, Boruciński, Kędzierski, Weiss i Mehofer, obok rzeźby, ciekawszej znacznie niż w Zachęcie, i obok przemysłu art., który zwłaszcza w dziedzinie ceramiki daje formy szlachetne. Grombecki o innej myślał „rewji“ sztuki polskiej przed laty; ponieważ jednak oddawna niewystawia w Zachęcie, mógł więc nareszcie skorzystać z okazji udziału w wystawie zbiorowej u Baryczków i znów stwierdzić, że jego silnej sztuki ton nie da się zagłuszyć przez jazbandowy zgiełk współczesności — jego Daszyński ma życie, wyraz i plastykę. Borucińskiego „letni wieczór“ — z finezją rysowany, harmonijny w układzie i kolorze, Weissa modelka, straszliwe jak zwykle trywialna, lśni białością ciała — obie te nagie damy, tak krańcowo różne jako typ estetyczny, równouprawnione jednak zostały przez sztukę w imię zasady: nie co, ale jak. Przedziwne tło pejzażowe w znanym nam dobrze rybaku Kędzierskiego, daje nowy warjant jego nie wyczerpanych nigdy koncepcyj dekoracyjnych. Nietylko Wyspiański, ale i Mehoffer jakże wiele zawdzięczają Matejce: Draperje w świętej Teresie mówią o tem aż nadto wymownie — duch religijny tego obrazu przeciwstawia się kabaretowo-jasełkowej nucie, jaka dominuje w całej prawie naszej produkcji współczesnej w tym zakresie.

Rzeźbiarze u Baryczków dostarczyli niemałej emocji: Kuna pokazał, że umie rzeźbić w technice jędrnej i twardej — że bronz jest dlań materjałem bodaj odpowiedniejszym, niż marmur. Rzecki Szreniawa — rzeźbiarzem?! bez cienia dyletantyzmu i trwogi, pełnym smaku i dowcipu (włosy) — cóż za niespodzianka. Taka metamorfoza gorzej się udaje rzeźbiarzom, gdy probują malować. Szczepkowski odsłania przed nami rąbek tajemnicy, spowijającej koncepcję pomnika Bogusławskiego.

Oczywiście w tej krótkiej impresji ledwie wspomnieć jeszcze mogę o pracach Czajkowskiego S., Grabowskiego Z., Karpińskiego, Malczewskiego Rafała, Gaszczyńskiej, Wigi — i kończe pobieżny przegląd Salonu Listopadowego stwierdzeniem, że wystawa jest urządzona starannie, że znalazły się na niej „latarki“ (nad obrazami), które tak irytowały pewnego sprawozdawcę na wystawie Styków, że wielu wybitniejszych wystawców dało rzeczy niemiarodajne (Ślędziński, Sichulski, Skoczylas, Pruszkowski), że wreszcie sala z eksponatami sztuki najnowszej, może być powodem do dyskusji, ale nie jest ani czemś nieoczekiwanem, ani nie zawiera zapowiedzi, za okres nieobliczalnych często eksperymentów ma się ku końcowi.

* * *

Salon T-wa Zachęty liczebnością dzieł przewyższa znacznie wystawę u Baryczków. Nie o ilość wszakże chodzi, a składają się na to następujące przyczyny:

Dla Zachęty kryterja mamy oddawna ustalone — wiemy, że tu można każdy prawie obraz, czy rzeźbę, ocenić według jego określonej, istotnej wartości, że ta wartość nie jest zamaskowana jakimś mniej, albo bardziej nieoczekiwanym, mniej albo bardziej modnym, czy ekstrawaganckim efektem zewnętrznym, który może być frapującym, ale odwraca uwagę od podstawowych wartości danego dzieła. Tu się bezpośrednio, drogą najkrótszą, dochodzi do wyników fachowej oceny nagromadzonego materjału. U Baryczków jest to wręcz niemożliwe: kryterja są tam rozmaite, o skali nierównej, więc i omyłki muszą być częstsze — coraz to pod innym kątem, co raz to z innej strony podchodzić należy do rzeczy ze sobą nieuzgodnionych, rozbieżnych, nieprzystosowanych do oceny jakiejś miarodajnej, sprawiedliwej, jednolitej. W Zachęcie, poza najwybitniejszymi, połowa bezmała dzieł wy-

stawionych ma swój ustalony poziom niezbyt wysoki może, ale zdecydowany. U Baryczków, poza najwybitniejszymi pracami, o reszcie nic konkretnego powiedzieć nie można, zostaje ona pod znakiem zapytania, uchyla się z pod oceny.

Oprócz kilku prac wyraźnie wybijających się na czoło wystawy, jest jeszcze w Zachęcie długi szereg prac stojących powyżej poziomu przeciętnego, wreszcie, owe tło, mniej więcej obojętne i, niestety, jak zawsze, garść całkiem niepotrzebnych obrazków i rzeźb (poto chyba, ażeby było ciaśniej i przytulniej).

Zbiorowy portret Czesława Tańskiego jest kompozycją pełną wdzięku, lekką i śmiałą zarazem: Kopczyński zapatrzony w swój obraz, ma mgiełkę w oku, właśnie tę samą, z której wyłania się cała jego twórczość — jest to znakomicie streszczony wizerunek psychiczny malarza tych niezliczonych balad i legend, które wysnuwa ze szczelin starych murów, z odłupanych tynków.

Jakże innym, dalekim od romantyzmu Tańskiego, jest nawskroś nowoczesny portret Rudnickiego: tu elegancja, obca pojęciu zdawkowego szyku, idzie w parze z istotnemi zdobyczami nowej sztuki. Bunscha „Opowieść o kwiatach", jest ornamentem miękim w linjach, który spowija nietylko treść malarską uproszczonych harmonij barwnych, ale i nastrój wewnętrzny obrazu, pełen dyskretnych niedomówień o rzeczach istotnych. Kossak Wojciech, jak zawsze, zdumiewa młodzieńczym ogniem i wirtuozją techniki. Gościem dawno niewidzianym jest Franciszek Ejsmond, jego syn Stanisław tym razem dał jedną z najlepszych prac na wystawie (chryzantemy). Axentowicz, Okuń E., Augustynowicz, Górski, Cieślewski ojciec, Popowski, Żukowski, Wróblewski, Ziomek wystąpili z pracami, które stoją na zwykłym poziomie tych autorów, a więc wysokim — szczególnego jednak wysiłku twórczego tym razem poskąpili, a szkoda, bo salon tegoroczny Zachęty, więcej niż kiedykolwiek winien być reprezentacyjnym. Kopczyńskiego „Wnętrze" jest tak dobre, że nawet pogrzeb pierwszej klasy (trumienna rama), jaki mu wyprawił autor, niezdołał uśmiercić wysokich wartości tego obrazu. Wolę nienagrodzony kapitalny śnieg w scenie myśliwskiej Szczyglińskiego, niż dobrą wadę w drugim obrazie tego malarza, z wyolbrzymionemi jednak w głębi drzewami. Czajkowskiego S. nieomal radosna w kolorze jesień przeciwstawia się dwu innym jego obrazom, prawie ponurym w nastroju. Iwanowski Błażej postępuje naprzód w siedmiomilowych butach, podobnie jak Nartowski — jego „wnętrze" z posadzką i sufitem pięknie skomponowanemi, to znów najlepszy jego obraz — Nartowskiego fragment z Rzymu stoi na wysokim poziomie ostatniej wystawy tego malarza. Rupniewskiego „dworzyszcze"(?), to także skok naprzód — a i zwycięska walka z techniką olejną u Jagodzińskiego (zwłaszcza w portrecie kobiecym) są dowodem, że nie brak nam malarzy utalentowanych, od których jednak ostatniego słowa jeszcze nie usłyszeliśmy.

W tem tak krótkiem streszczeniu nie sposób pominąć nazwisk przynajmniej tych wystawców, którzy pracami swemi ogólną zwracają uwagę — a więc przedewszystkiem Czepita (zasługujący na specjalne krytyczne omówienie), Łuczyńska-Szymanowska (czerwono-czarny portret), Kowalewski (obłok), Mieszko Jabłoński (za parawanem), Karny (akt — rzeźba), Zerych (Orzeszkowa — rzeźba), Polkowski (naprzód — rzeźba), Gałek, Kotowski, Bagieński, Szymanowski M., Pia Górska, Bielawski, Paszkowska-Bobińska (dziewczyna z fiołkami), Jerzy Kossak (Reduta Ordona), Paweł Gajewski (jesień). Jeszcze wiele nazwisk przytoczyćby należało, wiele rzetelnej pracy i talentu uczcić — cóż, kiedy miejsca brak i to w dodatku z winy piszącego, który na początku niepotrzebnie może poruszył pewne sprawy zasadnicze i aktualne w związku z obu salonami.

Zygmunt Badowski.

BIURO

Idę do biura, jak zwykle, jak codzień,
W tem szarem życiu tak zwykły przechodzień,
Idę — by sprzedać cząstkę swego życia,
Na przyszłość kupić spokój w tym codziennym zgrzycie...

Jakie to śmieszne, głupie, jakie dziwne,
A takie przecież ludzkie, tak naiwne,
Przy całej przezorności, całym moim sprycie,
By żyć — sprzedawać muszę własne życie...

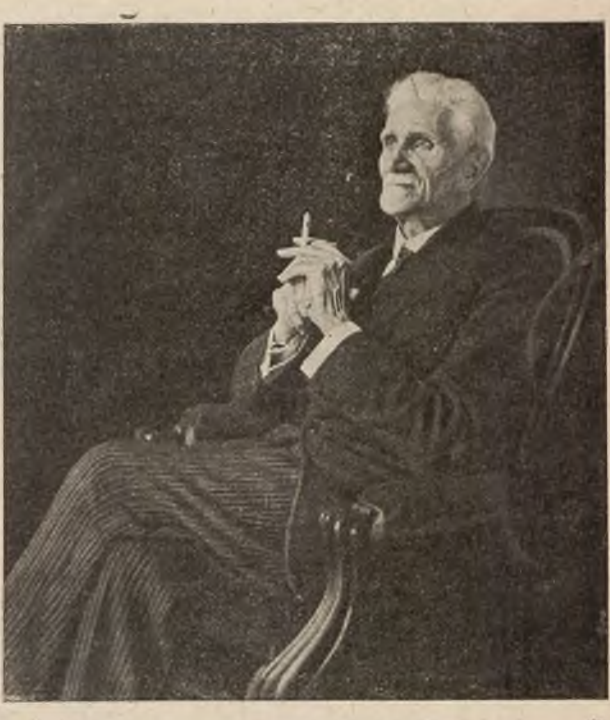
J. H



Cz. Tański Kopczyński w pracowni



Teodor Ziomek Wczesna wiosna



H. Grombecki portr. Ig. Daszyńskiego (Wystawa u Baryczków)



Konstanty Wróblewski Cerkiew



Zygmunt Badowski Portret



Apol. Kędzierski Rybak (Salon Baryczków)



Stanisław Zawadzki Portret p. S.



Konst. Mackiewicz Plac Teatralny w nocy



Michał Boruciński Letni Wieczór (Salon Baryczków)



Lucjan Jagodziński Portret p. M. K.



Wojciech Kossak Z wrażeń Dalekiego Zachodu



Wojciech Weiss Modelka (Wystawa u Baryczków)



Bronisław Kopczyński Wnętrze Toruń



Jerzy Rupniewski Dworzyszcze



Mieszko Jabłoński Za parawanem

NIESPODZIANKA

Andrzej Darski siedział przy biurku. Powinien był napisać kilka ważnych listów, ale po wczorajszem niewyspaniu miał dziwną pustkę w głowie i ogarnęło go rozleniwienie. Bębnił palcami po bibule, poziewając od czasu do czasu. Życie wydawało mu się w tej chwili strasznie nudne, a napisanie listu niesłychanie ciężkim obowiązkiem. Doszedł w końcu do wniosku, że na to ostatnie taraz się nie zdobędzie, a ponieważ nudził się i miał ochotę z kimś porozmawiać, ujął za słuchawkę telefonu i podał numer jednego z towarzyszy wczorajszej libacji.

— Hallo! — odezwał się kobiecy głos.

— Czy mogę prosić pana Rawicza do telefonu?

— Z jakim numerem chce pan mówić?

Podał numer.

— To pomyłka, proszę pana.

— Pomyłka? Nic nie szkodzi, czy nie zechciałaby pani ze mną porozmawiać trochę?

— Owszem, jeśli panu to zrobi przyjemność. Nie mam w tej chwili nic lepszego do roboty. — Nieznajoma zaśmiała się, śmiech ten wydał się Andrzejowi sympatyczny.

— Dziękuję pani bardzo. Szalenie nudzę się w tej chwili. Życie jest takie szare, nie uważa pani?

— Nie, nie uważam. Niech pan wyjrzy przez okno: cały świat śmieje się w słońcu. Z mojego okna widzę kawałeczek nieba, jest takie mocno błękitne i maleńki obłoczek tworzy na niem złotą plamkę.

— Ja nie widzę nieba. Zasłania mi je stare drzewo rosnące przed oknem.

— Ach, jaki pan szczęśliwy, że ma drzewo przed domem w mieście. Już pączki zaczynają się zielenić, prawda?

— Prawda, pani musi być bardzo młoda?

— Ja, młoda? — śmiech zadźwięczał znowu w słuchawce. — Z czego pan tak sądzi?

— Ze wszystkiego, co pani mówi. A przedewszystkiem z tego, że świat pani wydaje się wesoły i jasny.

— Czy pan uważa, że pogląd ten musi iść zawsze w parze z młodością?

— Tak.

— To się pan myli. Zresztą w naszej obecnej rozmowie uwydatniają się nie nasze poglądy, a raczej chwilowe nastroje. Pan jest nastrojony pesymistycznie, a jednak napewno nie jest pan z natury pesymistą.

— Tak się pani zdaje.

— Nie, jestem tego pewna. Prawdziwy pesymista nie szukałby rozrywki w przypadkowej rozmowie przez telefon z nieznajomą. Pana nastrój jest nawet bardzo powierzchowny, bo już świat wydaje się panu jaśniejszy, no, nie mam racji?

— Zgadła pani. Pani miły głos rozproszył już prawie moją chwilową, melancholję.

— No, to już mój miły głos zrobił swoje. Możemy się pożegnać.

— Nie, nie, błagam panią jeszcze chwileczkę.

— Cóż jeszcze.

— Ta chwila rozmowy z panią była taka miła, że pragnąłbym bardzo aby się jeszcze kiedyś powtórzyła. Niech mi pani wyświadczy wielką łaskę i poda mi swój numer telefonu.

— Widzi pan. Bardzo często rzecz miła, powtórzona, przestaje być miłą. Zresztą, gdy pan będzie znał mój numer, na upartego, będzie się pan mógł dowiedzieć kto ja jestem, a wtedy czar pryśnie.

— Ależ dlaczego? Zresztą, nie będę się dowiadywał.

— Słowo?

— Słowo.

— A więc dobrze. Jak panu będzie kiedy znowu świat się wydawał szary, niech pan zadzwoni pod numer 140-60. A teraz do... do następnej rozmowy.

— Dowidzenia. Raz jeszcze bardzo pani dziękuje.

Darski odkładając słuchawkę uśmiechał się. Zły nastrój naprawdę minął. Miała rację ta nieznajoma. Świat jest piękny, a wiosna cudowną porą roku — pomyślał.

Przeszedł szereg dni, w czasie których ani razu nie przyszło mu na myśl zadzwonić pod tajemniczy numer, życie stolicy porwało go w swój wir. Andrzej miał lat trzydzieści, a mało jeszcze użył. W chwili gdy skończył uniwersytet, w 1919 roku, poszedł wraz z innymi na front. Ranny w płuca leczył się potem przeszło dwa lata, włócząc się po różnych kurortach. Obecnie od trzech lat gospodarował w majątku, który oddziedziczył po ojcu. Miał dużo pracy i kłopotów, nim doprowadził do porządku zniszczone w czasie wojny gospodarstwo. Teraz nareszcie postanowił bawić się. Zalesie zostawił pod opieką matki staruszki i dalekiego jej kuzyna, który pracował u niego w charakterze rządcy.

Cały karnawał spędził w Warszawie, następnie, po miesięcznym pobycie w Zalesiu, wrócił do niej znowu. Odczuwał już coprawda przesyt dancingowych nocy, ale był powód który przytrzymywał go w Warszawie. Tym powodem była śliczna brunetka o trochę sennych szafirowych oczach. Pani Lila była żoną bogatego przemysłowca i uległa ogólnej epidemji dancingowej. Andrzej poznał ją na jednym ze stołecznych dancingów i bardzo prędko uległ jej czarowi.

Była naprawde bardzo ładna: wysoka, smukła, o wężowej linji ciała i tańczyła cudownie. Miała śliczne, pełne usta, które wdzięcznie rozchylały się w uśmiechu, odsłaniając równe białe ząbki. Pani Lila mówiła mało, ale zato często się śmiała perlistym, dźwięcznym śmiechem. I gdy Andrzej nie widział jej przez dobę, tęsknił już za nią nieznośnie. W tydzień od tego dnia, w którym rozpraszał nudy telefoniczną rozmową z nieznajomą, siedział znowu mocno nachmurzony w swoim gabinecie. Poprzedniego dnia pani Lila okazała mu wyjątkowe względy i ulegając jego gorącej prośbie, naznaczyła mu rendez-vouz w cukierni. Miał ją poraz pierwszy zobaczyć bez zwykłej świty, która ją zawsze dotychczas otaczała. Tymczasem, przed chwilą pani Lili telefonicznie zawiadomiła go, że na umówione miejsce przyjść nie może, ponieważ wyjeżdża na cały dzień do ciotki do Konstancina, a jutro zawiadomi go gdzie będzie wieczorem. Był zły i nie wiedział co zrobić z czasem. Miał w tej chwili wrażenie, że nienawidzi pani Lili i myślał o niej jak najgorzej, mszcząc się w ten sposób za doznany zawód. Nagle wzrok jego padł na telefon. Niemal machinalnie wziął do ręki słuchawkę i kazał połączyć się z numerem 140 60.

Jeśli ona nie podejdzie sama do telefonu, to jak ja ją poproszę? — błyskawicznie przeleciała mu myśl. Ale już miły, kobiecy głos odezwał się:

— Hallo!

— Dzieńdobry pani. Bo to przecież pani, nie mylę się? Wszak z panią mówiłem w zeszły wtorek?

— Tak, ze mną. Nie spodziewałam się, że pan jeszcze zadzwoni. Czy znowu zły nastrój?

— Tak. Gorszy jeszcze niż wtedy. Poprostu fatalny.

— Hm, to niedobrze. Czy nastrój ten wywołała jakaś przyczyna zewnętrzna?

— Tak przykry zawód.

— Biedny pan. Niema nic boleśniejszego niż zawody. Kiedy spotkał on pana?

— Dzisiaj, przed chwilą.

— No, to nie jest rzecz poważna, bo gdyby tak było nie telefonowałby pan zaraz do mnie. Wie pan jakie mam wrażenie, mówiąc z panem?

— Jakie?

— Że rozmawiam z rozkapryszonem dzieckiem, a to nie dobrze, jest pan dorosłym mężczyzną, tak mi się przynajmniej zdaje.

— Więc co z tego?

— Więc dorosły mężczyzna nie powinien się tak łatwo poddawać nastrojom, wypływającym z błahej przyczyny.

— Często jednak przyczyna, z pozoru błaha, jest bardzo bolesna.

— Tak, Ma pan rację. Drobne ciernie często sprawiają duży ból. Ale niech mi pan wierzy, że w dużej mierze od nas samych zależy złagodzenie tego bólu. Nie trzeba przedewszystkiem nigdy roztkliwiać się nad sobą i poddawać się, nietylko drobnym przykrościom, ale nawet wielkim cierpieniom i na przekór złym losom trzeba umieć zachować pogodę.

— Usłyszałem coś niby małe kazanie od starej ciotki, wiem, że to nie dyskretne, ale tem niemniej, ciekawy jestem ile pani może mieć lat?

— Jestem już bardzo stara. — Ciężkie westchnienie towarzyszyło temu wyznaniu. — Tak dalece stara, że niemam już potrzeby ukrywać swoich lat. Naturalnie w tej chwili jest pan bardzo rozczarowany, bo mimo wszystkie te rozmowy ze mną zakrawały w pana mniemaniu na mały flirt i w tem leżał może pewien urok, który teraz rozwiał się bezpowrotnie, ale pan sam chciał wiedzieć.

— Chciałem, i wcale się nie rozczarowałem, przeciwnie, nie pragnąłem flirtu, dzwoniąc dziś do pani, tylko przyjacielskiej rozmowy. Z panią tak dobrze się rozmawia. Ale swoją drogą zdawało mi się, że pani jest bardzo młoda i zresztą niewiem jaki wiek uważa pani za starość. Naprawdę jednak wolę że nie jest pani bardzo młodziutka.

— Hm, bardzo młodziutka. Pewno, że nie mam lat... Chce pan koniecznie wiedzieć ile?

— Tak, chciałbym bardzo, żeby choć trochę módz sobie panią wyobrazić.

— A, więc, mam lat... 65. Mogłabym być pewno babką pana?

— Rzeczywiście, prawie. Ja mam lat trzydzieści.

— No i co, nie stracił pan ochoty do rozmowy ze mną?

— Nie, musi być pani ogromnie miłą, starszą panią, o białych włosach i łagodnym uśmiechu i jest pani pewno bardzo wyrozumiała.

— Tak, tego nauczyło mnie życie. Młodość tak łatwo gorszy się i oburza, potem przychodzi doświadczenie i zrozumienie. Poznając siebie, staje się człowiek pobłażliwym na cudze wady i winy.

— To mnie ogromnie ośmiela i jak kiedyś co przeskrobie, zwrócę się do nieznanej „babuni" i powiem swoją winę. Strasznie nieraz potrzebuje wyspowiadać się nie przed konfesjonałem.

— Widzę, że awansowałam z rozpędzacza złych nastrojów na spowiednika. — I Andrzej usłyszał wesoły ładny śmiech.

— Jak pani młodo się śmieje, babuniu.

— Tak, to jedno zostało we mnie młode. — Głos babuni zadźwięczał nagle smutno.

— A mnie się zdaje, że nie tylko to jedno, o ile zauważyłem ma pani jasny i pogodny pogląd na życie i świat.

— Ależ to nie jest wyłącznym przywilejem młodości. Nie znałam większego optymisty od mego dziadka. Tak i ja przecież miałam dziadka, umarł gdy byłam bardzo młoda, ale pamiętam go dobrze i wtedy on mnie uczył patrzeć przez różowe okulary na świat i ludzi. Później przeżyłam dużo chwil czarnych, wypiłam dużo goryczy w kielichu życia i musiałam wiele przewalczyć w sobie nim znowu nauczyłam się wyszukiwać w życiu tego, co dobre i ładne. Dziś nic się już spodziewać nie mogę, ale staram się wyławiać z teraźniejszości pogodne chwilki i zachować, przynajmniej zewnętrznie dobry humor, aby nie straszyć ludzi ponurą twarzą. Ale się rozbajałam. Czy masz mi jeszcze co do powiedzenia, mój wnuczku.

— Babuniu, czy pani zawsze sama odbiera telefony?

— Nie, nie mieszkam sama.

— A więc kogo mam prosić, gdy zadzwonię do pani, a kto inny się odezwie?

— Niech pan prosi pannę Aleksandrę, tak pannę, jestem starą panną, czy to pana także nie przestrasza?

— Nie, babuniu.

— A więc dobrze, ale pamięta pan o danem słowie, że nie będzie się pan starał nic o mnie dowiadywać?

— Pamiętam i ponawiam przyrzeczenie.

— Zastrzegam się tak, bo jednej rzeczy się tylko boję — śmieszności, a przecież gdyby się kto z naszych znajomych dowiedział o tych rozmowach, wyśmiałby nas i słusznie. Więc do następnej rozmowy, jeśli będzie pan miał jeszcze kiedy ochotę.

— Całuję rączki babuni.

Andrzej położył słuchawkę i roześmiał się: Co za oryginalny pomysł. — Rozmawiać prawie pół godziny z 65 letnią babą, przyczem ani na chwilę nie pomyślał aby to mogła być mistyfikacja tyle prostoty i szczerości było w głosie nieznajomej, co dziwniejsze, że w tej rozmowie znalazł miłą rozrywkę. Inteligentna i sympatyczna staruszka — zadecydował.

— Ach, ta Lila zepsuła mu cały dzień. Jutro zobaczę ją znowu w jakimś hałaśliwym dancingu — powrócił znów myślą do porzuconego tematu, żeby chociaż była w Warszawie, to zatelefonowałby do niej. A, no trudno, trzeba zaczekać do jutra!

Szybko mknący, po błyszczącym asfalcie, samochód zatrzymał się przed jasno oświetlonem wejściem modnego dancingu. Andrzej wysiadł i wszedł szybkim krokiem do zawieszonego paltami przedsionka. Mały, ułomny portjer, w czerwonej liberji, witał go, kłaniając się nisko.

— Państwo Drelichowie są już na górze. — Mówił z uprzejmym uśmiechem, odbierając palto i kapelusz.

Andrzej z rozjaśnioną twarzą począł wstępować na schody. Pani Lila sama zadzwoniła do niego, naznaczając mu spotkanie w „Oazie", obiecując przytem tajemniczem głosem jakąś niespodziankę, był mocno zaintrygowany co to może być. Od drzwi już zobaczył państwa Drelichów, oprócz nich, przy stoliku, siedział: Rawicz i Tarkowski, stali satelici pani Lili, a także przyjaciółka jej nieładna i hałaśliwa, młoda wdowa, pani Nienarzycka i trzecia jakaś nieznana mu kobieta.

Po powitaniach i prezentacji, Andrzej usiadł koło pani Lili, którego to miejsca ustąpił mu uprzejmie Rawicz. Z drugiej strony miał za sąsiadkę nieznajomą mu dotychczas panią, która jednak zaraz wstała, poproszona do tańca.

Podczas gdy kelner nalewał mu szampana, pani Lila nachyliła się ku niemu, pytając:

— Jak się panu podoba moja niespodzianka?

— Niespodzianka?

— No tak, panna Oleńka Kryńska.

— Więc to miała być niespodzianka? Nie widzę w niej nic szczególnego.

— Niech się pan lepiej przyjrzy.

Posłusznie powiódł wzrokiem za tańczącą. Była średniego wzrostu, szczupła i zgrabna. Miała ładne nogi i śliczny kształt i obsadę głowy. Twarz, o drobnych, dość ładnych rysach i dużych, szarych zgaszonych oczach, nie odznaczała się jednak niczem, co zasługiwałoby na specjalną uwagę.

— No i co?

— No i nic — odpowiedział, śmiejąc się. — Dość przystojna panna, ale brak jej życia. W czem tu ma być niespodzianka?

— O, to pan zauważy dopiero przy bliższem poznaniu. To panna, jakich dziś mało, przy dużej inteligencji zachowała wyznanie dawnych, surowych zasad. Pochodzi z Kresów. Straciła oboje rodziców w Bolszewji, zamordowali ich w jej oczach; miała wówczas czternaście lat. Później już w Polsce zaręczyła się; narzeczony jej zginął w wypadku, był lotnikiem. Od tej pory ma takie zgaszone oczy. Od trzech lat nigdzie nie bywa, opłakując go ciągle. Dziś pierwszy raz wyciągnęłam ją na dancing, ale żeby pan wiedział po ilu trudach i prośbach. Mieszka ze starszym bratem, on jest urzędnikiem w ministerstwie, ona zarabia ręcznym haftem. Nieszczęśliwa dziewczyna, takbym chciała rozruszać ją trochę i rozerwać.

— To tylko dowód, że ma pani dobre serduszko. Ciągle jednak nie mogę zrozumieć, w czem tu tkwi niespodzianka dla mnie.

— Wobec ciągle przez pana wygłaszanych sceptycznych poglądów na dzisiejsze panny i kobiety wogóle, chciałam panu zaprezentować typ wybitnie przeczący pana pesymizmowi.

— Narazie nie zdążyłem tego zauważyć.

— Przekona się pan z czasem, ale cicho, „niespodzianka" wraca.

Andrzej z zainteresowaniem począł obserwować swoja drugą sąsiadkę. Trochę zadyszana po tańcu, z lekkiemi rumieńcami na twarzy, usiadła na swojem miejscu i w milczeniu rozglądała się po sali.

— No, cóż, Oleńko, dobrze się bawisz?

— Owszem, nieźle. Choć muszę raz jeszcze przyznać się, że poprostu odzwyczaiłam się od zabawy i wątpię bym mogła i miała ochotę do życia światowego się zastosować.

— Nauczysz się z czasem, i ochotę będziesz miała. „L'appétit vient en mangeant". — Roześmiała się pani Lila.

— Prawda, panie Andrzeju, że mam rację?

— Naturalnie, w wieku pani do wszystkiego można się na nowo przyzwyczaić.

— Ależ ja jestem, zupełnie stara. Tak, niech się pan nie śmieje. Jestem bardzo stara usposobieniem i zdaje sobie z tego jasno sprawę; zresztą nie może być inaczej. Nie czas mi już życia na nowo zaczynać i wstępować w świat, jako panna na wydaniu, bo nią nie jestem. Dzisiaj przyszłam tu tylko dla tego, żeby Lili zrobić przyjemność, ale nie mam zupełnie zamiaru w dalszym ciągu ulegać jej namowom.

— Zobaczymy, zobaczymy — wesoło zawołała Lila. — Tymczasem przepraszam państwa na chwilę idę tańczyć.

Andrzej był trochę zły, że nie on pierwszy poprosił panią Lilę do tańca, ale teraz mając do wyboru antypatyczną mu panią Nienarzycką i nową znajomą, wybrał tę ostatnią.

Odrazu zauważył, że panna Kryńska, źle tańczy. Brakło jej giętkości w ruchach, była sztywna i nie stosowała się do dansera.

— Bardzo pana przepraszam — mówiła uśmiechając się — ale ja zupełnie nie mam wprawy w tańcu. Trzy lata już nie tańczyłam zupełnie, a teraz tańczę tylko dlatego, żeby nie zrobić przykrości Lili. Ona taka dla mnie dobra i serdeczna, nie rozumie tylko, że jej wysiłki wprowadzenia mnie w życie światowe na nic się nie zdały.

— Ale dlaczego? Nie rozumiem pani. Wiem, mówiła mi pani Drelichowa, o ciężkich pani przeżyciach, ale tamto już minęło. Człowiek nie może zasklepiać się w wiecznem rozpamiętywaniu minionych nieszczęść.

— Cóż zrobić, kiedy minione, jak pan mówi nieszczęścia, zostawiły niczem niezatarte ślady.

— Jaka szkoda, że nie mogę panią zapoznać z jedną... taką... moją „babunią".

— Z babunią?

— Tak, z jedną starszą panią. Ona wytłómaczyłaby pani, jak to nie należy poddawać się cierpieniom i zawsze zachowywać pogodę.

— Pan mnie nie rozumie, pogodną staram się być zawsze, tylko niczego się już w życiu nie spodziewam i nie mogą mnie bawić bezmyślne, światowe rozrywki; na to trzeba być bardzo młodą usposobieniem.

Andrzeja tak zajęła rozmowa z panną Kryńską, że usiadłszy po tańcu, znowu do niej powrócił.

— Proszę pani, powiem szczerze, że słuchać nie mogę, gdy osoba w pani wieku, mówi że niczego się już w życiu nie spodziewa. Ależ przecie życie całe jest jeszcze przed panią

— Otóż widzi pan, ono jest właśnie już za mną. To, co mnie czeka, to tylko wegetacja, może

być pogodna, nawet względnie wesoła, ale moje marzenia i silne uczucia młodości leżą pogrzebane razem z tymi, których kochałam. Mówię o tem spokojnie, bez egzaltacji, prawda? Nie poddaje się rozpaczy, tylko wiem, że co raz umarło, już nie zmartwychwstanie.

— Panno Oleńko, wszystko w życiu się odradza i nie należy nigdy ręczyć za przyszłością.

— Tak, wszystko, ale nie umarłe serce. W życiu może być tylko jedna prawdziwa miłość — pomyślała Oleńka, a głośno powiedziała:

— Różne są usposobienia. Ale, doprawdy, prowadzimy zupełnie nie dancingową rozmowę. Widzi pan, oto jeszcze jeden dowód mojej starości.

— Wobec tego chodźmy tańczyć.

— Jeszcze pan niema mnie dosyć?—roześmiała się, wstając posłusznie.

Andrzej drgnął. Co to jest, skąd on zna ten śmiech o dziwnie miłem brzmieniu? Tym razem w milczeniu przetańczyli starego walca.

W następnem tangu, pani Lilka mówiła wesoło do Darskiego:

— Jakoś widzę, że przypadliście sobie z Oleńką do gustu. Bardzo się cieszę i dla niej i dla pana.

— Owszem, przyznam się szczerze, że zainteresowała mnie, ale wpływa to z tego, że się od pani dowiedziałem o cierpieniach, przez jakie przeszła. Dzięki nim stała się do pewnego stopnia bohaterką tragedji, a to nas ludzi żądnych sensacji zaciekawia.

— Nie ma pan racji. Zainteresowała pana, bo jest miła, ogromnie naturalna i szczera. Bo ma zdrową, szlachetną naturę, przez co zbliżona jest do pana.

— Dziękuję za komplement.

— To nie komplement, a szczera prawda. Jestem sama pusta i powierzchowna, lubię nocne dancingi, hałaśliwe jazz-bandy, ładne suknie, flirt i szampana, ale czasami, bardzo rzadko, interesują mnie także i poważniejsze rzeczy i szkoda by mi było, gdyby pan zmarnował się, rozpraszając swoje siły i uczucia w bezmyślnych zabawach i przelotnych miłostkach bez jutra. Uf! jak żyję, tak długo na poważny temat nie mówiłam.

* * *

W dwa dni po nocy spędzonej w „Oazie" Andrzej obudził się wcześnie rano zupełnie wypoczęty. Uśmiechnął się z zadowoleniem na widok promieni słonecznych, wpadających przez okno do pokoju migotliwym snopem. Był tego dnia w doskonałym nastroju, bez żadnej, wiadomej przyczyny. Ubierając się gwizdał wesoło, postanawiając iść zaraz na spacer w Aleje. Przed wyjściem jednak przyszło mu na myśl zadzwonić do nieznanej „babuni", ale naprózno telefonistka dzwoniła bez końca, nikt się nie odzywał. Może umarła — pomyślał, a może śpi staruszka. Zadzwonię później.

Po wyjściu z domu skręcił w Aleje idąc szybko, sprężystym krokiem w kierunku Belwederu. Pachniało wiosną. Drzewa zieleniły się delikatną koronką młodziutkich listków.

Trzeba będzie jednak wracać do domu, na wieś — rozmyślał Andrzej. — Wstyd tak próżnować w Warszawie. Nie przyznawał się jeszcze do tego przed sobą, ale miał już naprawdę dosyć przetańczonych i przepitych nocy, dokuczył mu już gwar wielkomiejski, wymalowane jak lalki kobiety, a nawet sama pani Lila przestała mu się już tak gwałtownie podobać.

Było jeszcze wcześnie, dochodziła dziewiąta i w Alejach było prawie pusto. Nagle uwagę Andrzeja zwróciła znajoma mu sylwetka, idącej naprzeciw niego kobiety. Gdy zbliżyli się jeszcze do siebie poznał pannę Kryńską.

— Dzieńdobry pani. Co pani robi o tak wczesnej porze w Alejach?

— Ja, jak zwykle, odbywam mój ranny spacer, ale że pan już nie śpi, no, no! — uśmiechnęła się trochę drwiąco.

— Ja także odbywam ranny spacer, coprawda pierwszy tego rodzaju, odkąd jestem w Warszawie. Pozwoli pani, że zakończymy go razem.

— Owszem, bardzo proszę.

Poszli obok siebie i Andrzej z przyjemnem zdziwieniem przyglądał się Oleńce. Wtedy na dancingu wydała mu się zaledwie przystojną, teraz w słonecznem oświetleniu poprostu śliczną. Cerę miała ogromnie świeżą i ładną, usta naturalnie różowe, w śliczny łuk wykrojone. Skromny, czarny kostjum uwydatniał smukłe i harmonijne linje jej ciała Oleńka, czując jego uporczywy wzrok na sobie, zarumieniła się.

— No i jak pan się bawi, dobrze w dalszym ciągu?

— I tak i nie. Dochodzę do wniosku, że już czas wracać na wieś.

— Och, ma pan rację. Ja, gdybym mogła, ani jednego dnia nie siedziałabym w Warszawie.

— Ja w zimie lubię miasto, ale na wiosnę trudno tu wytrzymać.

— Oj, wiem ja to dobrze. Tak mi czasami duszno w tych murach i tak tęsknię za wsią.

— Nie może pani wyjechać?

— Niestety nie. Nie mam dokąd. Prawie co lato wyjeżdżam z bratem na miesiąc na Hel, ale to nie to samo. Lubię bardzo morze, ale bodaj wolę zwyczajną sobie wieś. Zresztą trzeba jedenaście miesięcy czekać na ten jeden miesiąc. — Jasna twarz panny Oleńki spochmurniała, a kąciki ust zadrżały lekko i wygięły się ku dołowi.

„Jaki ona ma jeszcze dziecinny wyraz twarzy" — pomyślał Andrzej.

Szli jakiś czas w milczeniu; pierwsza odezwała się Oleńka:

— Największą moją przyjemnością są te ranne spacery, w Alejach, ale dziś już późno, a mam dużo roboty, więc będę musiała na pierwszym przystanku wsiąść do tramwjau.

— Już? — z żalem zawołał Andrzej.

— Ano tak, obowiązek — uśmiechnęła się przystając.

— Do widzenia panu. Dziękuje za urozmaicenie spaceru i radzę prędko uciekać z Warszawy. Teraz, kiedy tak ładnie, szkoda każdego dnia.

— Do widzenia, panno Oleńko! Mam nadzieję, że zobaczymy się jeszcze.

— I ja także.

— Jak tylko przyjadę znowu do Warszawy, poproszę panią Lilę, aby się o to postarała.

— Dobrze, dobrze. Dowidzenia.

Wróciwszy do siebie Andrzej myślał jeszcze ciągle o pannie Kryńskiej, tym razem podobała mu się bardzo i wzbudzała w nim współczucie. Biedactwo, młoda taka jeszcze, a już tyle przeszła i taką pogodę i równowagę ducha zachowała. Ale chyba życie da jej jakieś zadość uczynienie; należy jej się chyba. Usiadł przy biurku i zapalił papierosa. Widok aparatu telefonicznego przypomniał mu „babunię". Wypadałoby pożegnać i uprzejmą staruszkę. Tym razem miły głos zaraz odezwał się:

— Hallo!

— Czy panna Aleksandra?

— Dzieńdobry, babuniu.

— Dzieńdobry — starsza pani mówiła dziś jakimś dziwnie stłumionym głosem.

— Pozwalam sobie znowu zatelefonować, aby panią pożegnać. Wyjeżdżam z Warszawy.

— Ach tak.

— Chciałem pani, babuniu, raz jeszcze po dziękować za miłe rozmowy.

— Niema za co, doprawdy — „babunia" była wyjątkowo lakoniczna tym razem, ale pomimo to Andrzej ze zdziwieniem wsłuchiwał się w brzmienie jej głosu.

— Babuniu.

— Słucham.

— Proszę coś powiedzieć... jakieś dłuższe zdanie.

— A to na co?

— Nie, doprawdy to niemożliwe. Czyżby pani?... Dlaczego pani nic nie mówi?

— Hm, hm.

— Ależ, tak napewno, nie mylę się. Przecież Oleńka to zdrobnienie od Aleksandry. Panno Oleńko, czy to pani?

Wesoły śmiech zawdzięczał w słuchawce.

— No, tak, to ja, złapał mnie pan. Tak się bałam, ojej!

— A to dziwny zbieg okoliczności! Rzeczywiście wszystko na świecie jest możliwe. A ładnie, ładnie tak nabierać ludzi i dlaczego, co za pomysł z tą starością?

— Właśnie dlatego, że nie chciałam nikogo nabierać. Trudno żebym nieznajomemu przez telefon powiedziała: przeszłam to i to, więc choć latami jestem jeszcze dość młoda, ale usposobieniem i doświadczeniem stara. Zamiast tego wszystkiego, powiedziałam poprostu, że mam 65 lat i już.

— I kazałam się nazywać babunią i prawiłam morały, których sama w życiu nie stosuję.

— Owszem stosuję, tylko tak, jakby to robiła stara babunia.

— A pani, czy wiedziała?

— O tak, odrazu w „Oazie". Najpierw głos pana wydał mi się znajomy, a potem jak pan wspomniał o „babuni" byłam już pewna.

— Dlaczego pani nic mi nie powiedziała?

— A poco?

— Babuniu, musisz wystąpić raz jeszcze w tej roli i ukarać razem ze mną niegrzeczną pannę Oleńkę.

— Dobrze, ale jak?

— Panna Oleńka za pokutę musi przyjąć u siebie twego wybranego wnuka, ale na tem jeszcze nie koniec, drugą część pokuty powiem jej dopiero wtedy, gdy u niej będę.

— Na pierwszą część pokuty chętnie się zgadzam, a co do drugiej, zobaczymy, gdy się dowiem.

— Żadne zobaczymy, jak ktoś zawinił, musi ponieść karę. O której jutro każe mi pani przyjść?

— Między piątą, a szóstą będziemy oboje z bratem w domu.

— Świetnie, a więc do jutra.

— Do jutra.

Gdy na drugi dzień o umówionej godzinie Andrzej wszedł do mieszkanka Kryńskich, zastał już tam i panią Lilę; uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo. Po przywitaniach, Andrzej spytał się Oleńki:

— Czy pani Lila powiedziała już pani, jaka będzie druga część pokuty?

— Tak jest, ale...

— Pani nie może mówić o żadnych „ale". Chodzi tylko o to, czy szanowny pan nie ma nic przeciwko naszym projektom—zwrócił się do brata Oleńki, znacznie od niej starszego, który od pierwszego wejrzenia wydał mu się bardzo sympatyczny.

— Ja w zasadzie zgadzam się, bardzo nawet cieszę się z tego dla mojej siostry. Wiem, że to będzie dla niej wielka przyjemność.

— A więc zrobione. Proszę się porozumieć z panią Lilą, co do dnia wyjazdu i dać mi znać. Będziemy oboje z matką niecierpliwie czekali wiadomości.

— Ależ panie Andrzeju!

— Proszę się słuchać starszych, panno Oleńko, przestała już pani być babunią.

— Niestety, niezupełnie — westchnęła, uśmiechając się jednocześnie.

Pani Lila, mimo najlepszych chęci, nie mogła długo na wsi wytrzymać i po tygodniu uciekła już z Zalesia. Przed wyjazdem jednak, żegnając się na dworcu z odprowadzającym ją Andrzejem, powiedziała z uśmiechem:

— I co udała mi się „niespodzianka"?

— Udała się — odpowiedział, całując ją po rękach.

— Oj, coś bardzo się udała. I wyleczyłam pana, prawda?

— Z czego?

— No, ze mnie — zawołała, śmiejąc się i zaraz dodała poważnie:

— Oby się tylko panu udało wyleczyć Oleńkę i natchnąć ją wiarą w przyszłość, ale może to uczyni...

— Kto?

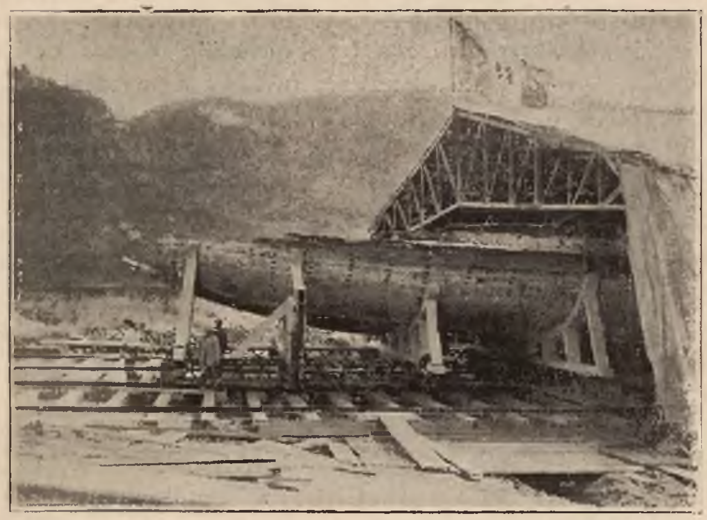
— Miłość, panie Andrzeju. Do widzenia.

Alina Rościszewska.

SKARBY NA DNIE JEZIORA NEMI.

Jadę z Neapolu do Rzymu, nowozbudowaną drogą elektryczną, która przybliża się do gór Albańskich.

Po lewej stronie mam wciąż towarzyszącą mi w drodze świetlistą taflę morza Śródziemnego, która to się zbliża to oddala, cofa się za krętemi



Statki Kaliguli wydobyte z jeziora Nemi

półwyspami, i wyziera zwierciadłami zatok, nęci dalekiemi, nieznanemi lądami i zakrywa niespodzianie pasmem lasu. Jeszcze sto kilometrów dzieli nas od Rzymu, a już czuje się jego nieuchronną bliskość. Jakże daleki był niegdyś zasięg tego nieporównanego miasta! Dokoła, na rozległej dolinie, dzielącej nas od morza, widzimy coraz gęściej szczątki starożytnej cywilizacji, rozsiane mnóstwem wież napół rozwalonych, grobowców, szczątków wodociągów, które w niektórych miejscach łączą się i tworzą nieprzerwaną linję łuków nad spaloną trawą Kampanji rzymskiej.

Wszystko tutaj mówi o tem, **co było.** Jesteśmy w sercu pejzażu nawskroś klasycznego.

Nazwy miejscowości dokoła zachowały jeszcze swoje starorzymskie brzmienie.

Historja woła do nas z za każdego kamienia z każdego ułomka, z każdego zwaliska:

Rzym!

W pasmie wzgórz Albańskich, na prawo, wystrzela wyższe nad inne **Monte Cavo,** niekiedy w zimie, śniegiem przyprószone. Na zboczach, jego leżą historyczne Pola Hannibala. Ze szczytu zaś Monte Cavo widać z obu stron jego dwa jeziorka pochodzenia wulkanicznego: jezioro Albano (lago di Albano) i jezioro Nemi (lago di Nemi), podobne do dwóch szafirowych klejnotów w oprawie zieleni gajów.

Utopione w gąszczach kasztanowych, jeziora te są ulubionem miejscem wycieczek mieszkańców Rzymu.

Lago di Nemi, maleńkie, położone w bok od miasteczka Genzano, zdala od traktu, nie posiadające nawet prawidłowego gościńca, u stóp średniowiecznego zamku obronnego, **prawie odludne,** dziw, że dotąd nie stało się scenarjuszem jakiegoś romantycznego filmu. Bo miejsce jest nawskroś romantyczne. I dlatego zapewne było zawsze siedliskiem legend i opowieści, a te, oczywiście,



Głowa wilczycy

(bronz znaleziony na statku Kaliguli)

osnuły się przedewszystkiem dokoła nieśmiertelnej przeszłości, związanej z dziejami Rzymu.

Pomiędzy ludem okolicznym przechowywała się od niepamiętnych czasów pewność, że na dnie jeziora Nemi spoczywają starożytne statki, zato-



Głowa lwa (bronz znaleziony na statku Kaliguli)

pione niegdyś na rozkaz Kaliguli, wraz z nieprzebranemi skarbami.

Rząd obecny pieczołowicie strzeże wszystkiego, co ma związek z wielką przeszłością Wiecznego Miasta i oddawna dawał posłuch nagabywaniom archeologów, aby przekonać się, ile jest prawdy w opowieściach krążących pomiędzy ludem. I oto na rozkaz rządu przystąpiono do „zrealizowania" filmu o wielkim zakroju: postanowiono osuszyć jezioro Nemi.

Zainstalowano olbrzymie pompy parowe, przekopano kanały, mające odprowadzić wodę od morza. Zamysł wydawałby się nieprawdopodobnie romantyczny, gdyby nie działo się to we Włoszech. Włochy są krajem niewyczerpanych możliwości i nieoczekiwanych cudów. Wielka przeszłość dziejowa pozwala spodziewać się wszystkiego dla teraźniejszości. Spadkobiercy wielkiej kultury tysiącleci wiedzą, że przodkowie pozostawili im skarby nieprzebrane.

I oto zawrzały wielkie prace. Rzesze robotników pracowały nad niesłychanem w naszych realistycznych czasach przedsięwzięciem pod kierunkiem inżynierów i uczonych. Tysiące domysłów i powątpiewań, a nawet drwiny towarzyszyły tym zabiegom — przez długie miesiące.

Ale wiara w swą wielką przeszłość nie zawiodła Rzymu! W miarę, jak zaczęły opadać wody i zniżał się poziom jeziora, z dna wynurzyły się kadłuby zatopionych statków.

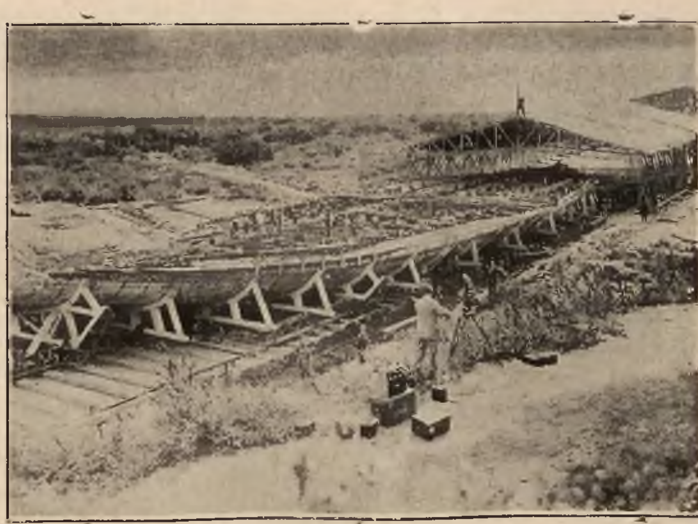
Błędne wieści ludu rzymskiego nie były bajką! Statki Kaliguli spoczywały istotnie pod wodą przez lat dwa tysiące! Można spacerować po nich, dotykać ręką. Są naocznem świadectwem zamierzchłej przeszłości! Przeszłość żyje namacalnie, tu, w obliczu potomków!

Wrażenie było nieopisane. Wynurzyły się galery cesarskie, budowane według wszelkich prawideł sztuki starożytnej, wszystko tak, jak opisywały księgi autorów rzymskich, wszystko, co znano z historji!

Wydobyto najpierw pierwszy ze statków, który widzimy na fotografji.

Płaski, szeroki, ma na pokładzie kajutę cesarską, i pod pokładem kryjówki dla wioślarzy, którymi byli oczywiście niewolnicy. Przechowany jest doskonale w swej dwudziestowiekowej kąpieli. Drzewo napozór gąbczaste i łuszczące się, ma trwałość i niepożytość żelaza. Skarbów, niestety, o ile idzie o złoto, nie znaleziono. Widocznie w przeciągu tego zawrotnie długiego czasu, rabusie znaleźli sposoby, aby z mniejszym nakładem trudów i bez wysokiej techniki państwa nowoczesnego wydobyć je i przywłaszczyć sobie.

Znaleziono natomiast rzeczy niesłychanej wartości, a mianowicie rzeźby z bronzu, przy okuciach drzwi i belek. Rzeźby te przedstawione są na załączonych fotografjach, a złożone w prowizorycznem muzeum jeziora Nemi. Jedna przed-



Statki Kaliguli wydobyte z jeziora Nemi

stawia głowę lwa, druga—głowę wilczycy. Trzecia to Janus dwutwarzowy, bóstwo rzymskie. Rzeźby są przedziwnej piękności, szczególnie głowa wilczycy, o czem daje pojęcie nawet podobizna fotograficzna. Zachowane są doskonale, nieuszkodzone ani czasem, ani działaniem wody. Są one przedmiotem gorącego podziwu wszystkich niezliczonych artystów i uczonych, którzy je oglądali, i świadczą, jak wysoko stała sztuka u starożytnych.

Zbyteczna dodawać, jak bardzo nadzwyczajne odkrycia w głębi jeziora Nemi zrewolucjonizowały świat archeologów współczesnych. Od chwili tego bajecznego prawie odkrycia cichy zakątek jeziora Nemi stał się celem wędrówek z całej bez przesady kuli ziemskiej. Ludzie o najsłynniejszych nazwiskach przeciągali korowodem przez aleję kasztanową, wiodącą w dół — od Genzamo, do osuszonego w połowie jeziora. Byli tu uczeni z całego świata. Była królewska rodzina włoska, belgijska, byli Amerykanie — ci przedewszystkiem; byli Japończycy i Bóg wie jacy jeszcze różnokolorowoskórzy turyści!

Obecnie wszystkie te skarby starożytne spoczywają jeszcze na brzegu jeziora Nemi, z którego je wydobyto, ale wkrótce mają być przewiezione do Rzymu, do specjalnego muzeum; widzimy na fotografji specjalnie na ten cel dla statków budowaną kolejkę.

Dla tego, kto nie zna ludu włoskiego, najciekawszy jest stosunek do nowoodkrytych skarbów.

Włosi mają wrodzone już, we krwi poszanowanie nauki i sztuki, a osobliwie lud rzymski pyszni się swą wielką przeszłością dziejową. Od chwili rozpoczęcia robót nad jeziorem, lud okoliczny brał najwyższy udział we wszystkiem, uważając powodzenie imprezy niejako za swój punkt honoru. Świetne jej powodzenia napawa go dumą i ambicją osobistą. Co niedzielę przybiegają tu tłumy wieśniaków ze wszystkich osiedli pobliskich; dzieci, powiadomione o datach dziejowych lepiej niż niejeden archeolog, roztrząsają piękności bronzów, zachwycając się nimi. W moich oczach jakiś obdarty berbeć, może dziesięć lat mający, głaskał w zadumie łeb wilczycy rzymskiej, szepcząc z westchnieniem zachwytu:

Com è bella questa lupa!

Cecylja Marion.



Głowa Janusa (bronz znaleziony na statku Kaliguli)

NOKTURN.

1.

Zimny wiatr w okna chłoszcze, a okna na zachód
Obrócone, się żarzą pożogą.
Wiatrem wyją ciche skrzypki strachu,
Czasy wchodzą niewiadomą drogą.

2.

Niema śniegu, ni zieleni,
Niema nieba, niema ziemi,
Tylko idea w przestrzeni.

3.

Melodja wieczoru—wyrasta, samotnica moich własnych stron.
Na dachach, na drodze do miasta, płynny księżyca szron.
Drutów telefonicznych złoto — bachiczny,
Mocny, wnikliwy na zewnątrz dzwon...

HELENA RADZIUKINAS.

TEATR

Teatr Nowy. Luigi Pirandello. „Rozkosz uczciwości". Komedja w 3-ch aktach. Przekład Bolesława Gorczyńskiego. Reżyserja Wiktora Biegańskiego. Dekoracje A. Aleksandrowicza.

Jedna z arystokratycznych rodzin włoskich znalazła się w dość przykrej sytuacji. Dwudziestosiedmioletnia panna Agata Renni ma zostać matką. Nieostrożny sprawca tego nieszczęścia markiz Fabjusz Colli nie może się z nią ożenić. W obliczu skandalu pani Magdalena, matka biednej Agaty i markiz decydują się na wynalezienie męża figuranta, któryby dał nazwisko dziecku i ochronił rodzinę przed hańbą. Gdy wymaganym przez społeczeństwo pozorom uczciwości stanie się zadość, mąż figurant łatwo może zostać usunięty, a markiz będzie nadal kochankiem pani Agaty. Kim będzie ów ktoś, kto zgodzi się na taką rolę—to mniejsza, grunt, aby nie raził zbytnio manierami i urodzeniem. To wszystko. Buntuje się jeszcze Agata, ale przecież innego wyjścia niema.

Pomysł, sytuacja, całe środowisko jest zwyczajne, małe — i śmieszne. A gdyby znalazł się ten ktoś, kimby nawet markiz miał prawo pogardzać za przyjęcie niezaszczytnej roli, nie byłoby powodu, dla którego Pirandello napisał tę komedję.

Tymczasem pojęcie systematyki form życia może ulec zupełnej przemianie, gdy się spotka z niezależną myślą człowieka. Rzeczywistość nie jest taka, jak się ją ocenia według powszechnie przyjętych kategoryj, ale jest taka, jaką jest konstrukcja człowieka z nią się spotykającego. Tu powstaje Angelo Baldovino. Treścią komedji jest jedynie Baldovino, jego myśl, jego stosunek do siebie w otaczających go kategorjach. Jego wzrok, którym siebie z zewnątrz obserwuje. Gdyby obserwować przestał, jego odrodzenie myśli i uczucia w zemście stałoby się nanowo poddaniem społeczeństwu nieuczciwości, społeczeństwu formy. Społeczeństwem formy jest Magdalena, Agata i Fabjusz. Gdyby Baldovino mu uległ, jużby nawet nie pogardził sobą — i kto wie, czy jego walka o uczciwość nie staje się po transformacji pierwotną walką przeciwko złu.

Komizm uczciwości ukrywającej grzech w uczciwości nieuczciwego człowieka sprawia, że Baldovino staje się sędzią i panem życia maleńkiego światka. Jego osobowością staje się uczciwość istotna, do której bezwzględnie nagina formę. Ta uczciwość naświetla się męskim pierwiastkiem siły, siły która potrafi oddzielić zwierzę od duszy. Co za rozkosz śmiechu, kiedy on złodziej w opinji społeczeństwa mógłby się bawić groteską uczciwości.

Charaktery osób wydobyte bez żadnego wewnętrznego kłamstwa. Może nie wszystko o każdej z nich wiemy i nie wszystko możemy wiedzieć. Dużo jest rzeczy pominiętych albo przemilczanych. Komedjowe nastawienie sytuacji graniczy w umiejętny i nierażący sposób z pełną powagi postawą wewnętrzną Angela. Granice ironji, myśli i uczucia plączą się z zmiennemi konstrukcjami Agaty i świata z nią związanego, stwarzając kontrasty niepokojące, nieoczekiwane i nierozwiązane. Tani efekt erotyczny nie znajduje tu dla siebie miejsca, a miłość powstała w walce odbija się silnym tonem w ostatniem wyznaniu Agaty, w którem pulsuje niespożyta energja i pierwiastek aktywny narodzony ze wstydu mężczyzny. Gdyby Baldovino nie stanął na drodze Agaty, czy wydobyłaby się ona z formy?

Koloryt sztuki jest głęboki, osiągnięty sekretem bogatej mieszaniny farb. Plamy są rzucane śmiało, obrazy życia i obrazy myśli kładzione w pragnieniu, aby ich treść zamkniętą ukazać nie w zwiewnej domyślności rysunku, a w kontraście rysów różnych, przyciągających, charakterystycznych. W pozornej bezładności tych obrazów jest plan człowieka, który wie, co chce mówić i tylko to mówi, co trzeba. Kompozycja pierwszorzędna.

P. Brydziński wydobył z siebie bardzo wiele. Myślał tak sugestywnie i tak prowadził w tajemnice swego mózgu i serca, że wchłaniał i otaczał prawdą własnych przeżyć. Kreacja to niezwykle szczera i prosta.

P. Dulęba dała bardzo dobrą, trochę karykaturalną postać matki, żyjącej wyłącznie myślą o szczęściu swego dziecka. Gdyby tej kobiecie zabrakło córki, nastąpiłoby bankructwo sensu jej istnienia.

P. Biegański świetnie się trzymał w roli rozmiękłego markiza.

P. Lindorfównie brak było prawdy wewnętrznych przeżyć, przez co raziła chwilami sztucznością głosu. Naogół jednak w jej interpretacji wypadła Agata dość miło.

Dobry był p. Norski, p. Rodziewicz był żaden.

Reżyserja p. Biegańskiego bardzo subtelna i trafiająca do przekonania. Czyby jednak nie należało stuszować lekko kilku zbyt groteskowych momentów, psujących wartość sytuacyj? Dekoracja p. Aleksandrowicza miła i ładna.

Sukces artystyczny teatru bardzo duży.

Stanisław Masłowski.

Koncert symfoniczny w Filharmonji.

W piątek, dn. 9. I. 31 r. odbył się w Filharmonji koncert symfoniczny pod dyr. Grzegorza Fitelberga. Zamiast zapowiedzianego koncertu skrzypcowego J. Maklakiewicza usłyszeliśmy znany nam już koncert wiolonczelowy tegoż kompozytora.

O walorach tego utworu mówiono już wiele, zaliczyć do nich wypada 1) dość bogatą melodykę (1 sza cz.); 2) doskonałe wyzyskanie charakteru

wiolonczeli; 3) pomysłowe, interesujące efekty dźwiękowe w partji orkiestrowej. Główną wadą tego koncertu jest zbyt literacka koncepcja całości. Czysto muzycznie utwór ten nie tłomaczy się wcale, lecz przeciwnie, robi wrażenie chaotycznej kompozycji (np. niespodziewany oberek po utrzymanej w kościelnym charakterze I części). Koncert był wykonany bez zarzutu przez Kazimierza Wiłkomirskiego.

Drugim solistą wieczoru był pianista Franz Osborn, który wykonał z orkiestrą koncert A-dur Liszta, wykazując dużą, wyrównaną technikę i ładny choć niewielki ton. Natomiast jako interpretator Strawińskiego i Prokofiewa (bisy) zupełnie nie zadowolił.

Część orkiestrowa zawierała uwerturę „Akademicką" Brahms'a i „Heldenleben" Strauss'a. w wykonanie tego olbrzymiego dzieła orkiestra pod dyr. Grzegorza Fitelberga włożyła wiele pracy, jeżeli mimo to, wykonanie nie stało na najwyższym poziomie, to winą tego jest tylko stale rażąca dysproporcja między brzmieniem blachy a smyczków w forte.

KINO

Kino — „Atlantic" — Król Paryża.

Reż. Leo Mittler.

Niezwykle kulturalnie zrobiony film. Wprawdzie w dzisiejszych smutnych czasach upadku kina każdy film wyprodukowany z pewną dozą inteligencji, musi się wydać zjawiskiem prawie nieformalnem, ten jednak obraz jest naprawdę wart uwagi ze względu na dobrze przemyślaną reżyserję, staranny montaż i przejścia, godne największych pochwał. Dziwną natomiast jest rzeczą, iż tak inteligentny reżyser wybrał sobie taki nędzny i głupi scenarjusz, załóżmy jednak, iż został on mu narzucony przez wytwórnię. Przekleństwem filmu są przeróbki powieściowe, zagranicą na szczęście już porzucane, u nas stanowiące dotychczas jedyne źródło tematów filmowych. Kiedyż wreszcie pp. producenci zrozumieją, że film rządzi się innemi zasadami ujmowania rzeczywistości, niż utwór literacki? Film ma całkowicie odrębną wymowę wizualności, a ostatnio dźwiękowości, czego utwór literacki jest pozbawiony. Istnieją dzieła, których jedyną (często bardzo wysoką) wartością jest styl, harmonijne kojarzenie słów, rytm. Czyż taki utwór nadaje się na ekran? Film musi mieć własny, specjalny scenarjusz i nie powinien obrzydzać ludziom kina przez parodjowanie Sienkiewicza (Janko Muzykant) lub przenoszenie z całym pietyzmem na ekran nieudolnych bzdur romantycznych nieboszczyka Georges Ohneta (Król Paryża). Akcja filmu jest chaotyczna, pogmatwana. Często niewiadomo, kim są występujące osoby i nie można zrozumieć pobudek ich postępowania. Błąd scenarjusza można wybaczyć Mittlerowi, który dał prawdziwy film, odbiegający mocno od plagi amerykańskich „talkies", nie można natomiast wybaczyć wytwórni (? dyrekcja kina przezornie nie podaje nazwy wytwórni) wprowadzenia wstawki z występem pani Heleny Lipowskiej. Publiczność niecierpliwi się, gdy musi słuchać kiepskiej „Angelity" Warsa w interpretacji operowej śpiewaczki, jako wstępu do pieśni Moniuszki. Wdzierać się w film fragmentem operowym jest barbarzyństwem. Wstawką taką, zamiast przyciągać polską publiczność (co zapewne było jej celem), można ją łatwo odstraszyć.

Film ze względu na wybitne walory reżyserskie i dobre opracowanie dźwiękowe wart obejrzenia. Zdjęcia poprawne.

Nad program cudowny Fleischer. „Sprytne muszki" należą do najlepszych kreacji tego mistrza filmu rysunkowego. Zdumiewającą jest rzeczą, ile skondensowanego humoru daje ten człowiek na 100 metrach taśmy. Niektóre fragmenty (spacer pająka po nitkach pajęczych, dzwon uwieszony przy pajęczynie) przytłaczają niesamowitą wprost ekspresją. Dźwiękowo zrobiony jest film bardzo dobrze (Staff). Tygodnik Fox-Moietone słaby. Lepsze są polskie zdjęcia z Budapesztu Henryk Vlassaka.

Kino Filharmonja — Wiatr od morza.

Reż. K. Czyński.

Przeciętnie poprawny film polski, który będzie się cieszył długotrwałem powodzeniem, podobnie jak inne elaboraty krajowej produkcji. Z Żeromskiego zostało bardzo mało, jak zresztą we wszystkich „przeróbkach", Dopóki nie wybrniemy z tej fatalnej martwoty przeciętnej poprawności i nie wkroczymy na tory zdecydowanie twórczej pracy, dopóty nie warto omawiać pseudo „patrjotycznej produkcji krajowej i zastanawiać się nad nieistniejącemi subtelnościami jej poszczególnych filmów. Przy takim żółwim postępie nieprędko dojdziemy do wyników S. M. Eisenstejna, którego „Romans sentymentalny" szedł w grudniu w Warszawie, jako dodatek do straszliwego koszmaru pochodzenia amerykańskiego.

Nowa placówka filmowa.

W Warszawie powstała staraniem szeregu osób, związanych wspólnem zainteresowaniem problemami filmowemi, instytucja p. n. „Start", Stowarzyszenie propagandy filmu artystycznego. Celem Stowarzyszenia, jak sama nazwa wskazuje, jest rozwijanie szerokiej propagandy na rzecz prawdziwie kulturalnego, o wysokich wartościach artystycznych filmu wśród wszystkich warstw społeczeństwa polskiego, narażonego na bezkrytyczne przyjmowanie zalewu produkcji wytwórni zagranicznych i krajowych, liczących się tylko z korzyściami finansowemi, jakie daje tworzenie miernoty, schlebiającej wątpliwej natury instynktom masy i nie dających głębszych i skończonych artystycznie filmów. Stowarzyszenie „Start" urządziło już cały szereg pokazów, na których demonstrowano cenne i już zapomniane obrazy, jak „Gabinet Dra Caligal", „Symfonja Wielkiego Miasta" i t. p. Po pokazach wygłaszane były referaty na temat, związany z oglądanym filmem, przyczem wywiązała się dyskusja.

„Start" projektuje cały szereg inowacyj, mających na celu rozbudzenie żywszego zainteresowania zagadnieniami filmu artystycznego.

Wszelkich informacyj o działalności Stowarzyszenia udziela Sekretarjat „Startu", Warszawa, Lwowska 9 m. 2.

PRZEGLĄD CZASOPISM

„Pamiętnik Warszawski", bezsprzecznie najpoważniejsze dzisiaj pismo krytyczno - literackie, przynosi w grudniowym zeszycie charakterystykę twórczości Włodzimierza Perzyńskiego pióra J. Lorentowicza. Krytyk podkreślił dwie zasadnicze cechy talentu niedawno zmarłego pisarza: inteligencję i ironję — pewną nonszalancję formy tłumacząc improwizatorską metodę jego pracy twórczej. Prof. J. Ujejski przedstawia rozwój „Ideologji powstania listopadowego", wykazując jej „romantyczność" w kulcie męczeństwa i oczekiwaniu „Królestwa Bożego na ziemi" — na podstawie mów sejmowych współczesnych, wykładów filozofji, artykułów dziennikarskich, pism Brodzińskiego i liryki powstania listopadowego. Interesujące „Kartki z podróży po Hiszpanji" J. Czapskiego prowadzą w tłum uliczny Madrytu, do sal Prado i Muzeum Archeologicznego, do miasta El Greca-Toledo, do mistycznego miasteczka św. Teresy pełnej romańskich kościołków Avili, wreszcie do Escorialu, klasztornej rezydencji ponurego króla-mnicha, Filipa II, którego potężna indywidualność w tem otoczeniu dopiero w pełni się objawia. O ile można się zgodzić prawie bez zastrzeżeń z tem, co autor mówi o Grecu i Goyi, o tyle powierzchownem nieco wydaje mi się twierdzenie, jakoby Velasquez pozbawiony był imaginacji i talentu kompozycyjnego. Przeczą temu „Les meninas", „La reudicion de Breda", portrety karłów, lub choćby cytowane przez autora z zachwytem „Las Hilauderas". Nie mogę się również zgodzić na twierdzenie p. Czapskiego, jakoby „Hiszpanja bardzo powierzchownie przeżyła wpływy Rzymu, jak również wpływy maurytańskie". Iberowie hiszpańscy zlatynizowali się zupełnie, dowodem choćby Seneka i cała literatura rzymska okresu srebrnego, którą stworzyli Hiszpanie, oraz cesarze rzymscy od Trajana do Marka Aurelego. Odrębność Hiszpanów od reszty ludów romańskich tłumaczy się właśnie głębokim wpływem Maurów. Jeśli dzisiaj stwierdzamy, że „za Pirenejami zaczyna się Afryka", to nie dzięki dawnym Iberom, lecz Maurom. Znakomity uczony hiszpański, Salvador de Madariaga, widzi w typie nowoczesnego Hiszpana połączenie pierwiastków rasowych europejskich z rasą wschodnią, bez przewagi którejkolwiek z nich. Z literatury pięknej znajdujemy w „Pam. Warsz." wiersze B. Żan, R. Kołonieckiego, H. Januszewskiej i L. H. Morstina, oraz nowelę T. Łopalewskiego p. t. „Adam", z doskonale uchwyconą chłopsko-żołnierską psychologją „wojenną". W dziale materjałów mamy „Listy Narcyzy Żmichowskiej do brata Erazma"; w „Krytyce" omówiony Rittner, M. Handelsmann, Mary Webb (poetka i powieściopisarka angielska, zmarła w r. 1927), „życiorys własny robotnika" J. Wojciechowskiego i „Klimaty" A. Manrois.

„Ruch literacki", którego treść czasem zbyt przypomina rozprawki seminaryjne słuchaczów kursu literatury, przynosi artykuł E. Rothertowej

o „Problemach analizy estetycznej utworów literackich". Przedmiotem kontemplacji utworu poetyckiego powinno być, w myśl autorki, całość artystyczna, obejmująca w równej mierze elementy treściowe, jak formalne. Badanie literackie nie powinno się odbywać jedynie pod kątem wyszukania pewnych kryterjów estetycznych, lecz starać się o przedstawienie dynamiki, żywotności dzieła. B. Żukotyńska „U źródeł modernizmu francuskiego" znajduje wyłącznie prawie wartości ujemne. Sądów autorki powtarzać nie warto; z powojenną literaturą francuską załatwia się krótko, twierdząc, że „nihilizm i negacja, opanowały w niej umysły". Zaznaczyć należy, że rozprawka odznacza się wyjątkowem niechlujstwem językowem i nie powinna się była ukazać w piśmie o pewnym poziomie krytycznym. Wł. Nakonieczny w „Tęczowej kopule myśli" daje jeszcze jedną próbę komentarza do odpowiednich strof „Beniowskiego". Z. Rath wyprowadza „Genezę szklanych domów" Żeromskiego z powieści M. Jokaya p. t. „Czarne diamenty". W dziale „Materjałów" znajdujemy zapomniany artykuł M. Czajkowskiego „o Rusinach w r. 1831", wyjaśniający stosunek Rusinów do powstania listopadowego. Oprócz „Recenzyj" zamyka zeszyt grudniowy systematycznie prowadzona „Bibljografja literatury polskiej za rok 1930" (dokończ.),

W styczniowym numerze **„Pologne Litteraire"** znajdujemy artykuł St. Klingslanda, poświęcony Wandzie Landowskiej, mistrzowskiej interpretatorce dawnej muzyki i twórczyni „École de musique anciénne" w Saint-Len-la-Forât pod Paryżem. B. Szarlitt (Nietzsche et la Pologne") przeprowadza przekonywujący dowód polskiego pochodzenia Fryderyka Nietzschego od szlacheckiej rodziny Nickich i wpływu tego pochodzenia na psychikę filozofa oraz na ukształtowanie się całej jego filozofji. Jego „wola mocy", jego pojęcie „nadczłowieka" i „moralność panów", przeciwstawiana „moralności niewolników" aż nazbyt wiele wykazuje rysów wspólnych z „liberum veto" i wybujałym po wsze czasy polskim indywidualizmem. „L'architecture de la province polonaise" M. Wallisa, illustrowana szeregiem trafnie dobranych fotografij, zaznajamia z odrębnością i specyficznym czarem naszych prowincjonalnych zabytków architektonicznych. I. Wieniewski występuje z inicjatywą uznania łaciny za język uniwersalny, więc dyplomatyczny, naukowy i t. d., zastrzegając potrzebę pewnego zmodernizowania i ujednostajnienia wymowy języka Cicerona, Polska inicjatywa w tej sprawie u Ligi Narodów podkreśliłaby łacińskie tradycje naszej kultury i zyskałaby niewątpliwie poparcie narodów romańskich i słowiańskich (prócz Rosji). C. P. Hiesgen daje krótki informacyjny feljeton w jęz. niemieckim o życiu i twórczości Kochanowskiego, któremu poświęcono już nr. 43 — 45 „Pol. Litter." w związku z 400-setną rocznicą urodzin poety. Mocny wiersz Wł. Broniewskiego w tłum. franc. T. Koerner, poświęcony pamięci Jesenina — oraz przegląd głosów o literaturze polskiej w prasie zagranicznej (wśród nich piękne wspomnienie o Juljanie Ejsmondzie Masca Sidowja) — zamykają numer.

Miesięcznik **„Europa"**, jedyne obok „Pol. Literaire" pismo, nawiązujące bezpośredni kontakt z kulturą i literaturą europejską, w nr. 13-tym przynosi artykuł Maxima Bontempelli p. t. „Herezje", w którym znakomity pisarz włoski identyfikuje istotę poezji z architekturą, jako formy przemiany otaczającego nas świata. Za artystę-twórcę, którego ideałem powinno być dążenie do bezimienności, uważa autor artykułu „twórcę postaci i wydarzeń, które wzbogacają życie świata". Poeta „jest zdolny tworzyć szczególnie silne obrazy uczuć i przeżyć, których nie doświadczał nigdy jako człowiek". N. Angell zastanawia się nad „Naturą pacyfizmu". St. Baczyński w przejrzystym wykładzie zapoznaje z „Filozofją wielości" Bertranda Russel'a, ujmującego świat nie jako jedność i całość, lecz jako wielość i różność, redukującego filozofję do logiki i epistemologji — a za cel poznania uważającego nie stwierdzenie lub skojarzenie faktów jako takich, lecz ich mechanikę. J. E. Płomieński zdaje sprawę z książki prof. J. Kleinera „Die Polnische Litteratur", posiadającej ogromne znaczenie propagandowe dla zagranicy dzięki dobitnemu stwierdzeniu zachodnio-europejskiego charakteru polskiej literatury. St. Baczyński w „Tragikomedji krytyki" raz jeszcze porusza sprawę horrendalnych tłumaczeń z obcych literatur, kierując ostrze krytyki pod najwłaściwszym adresem—mianowicie w kierunku wydawców, spekulujących na kryzysie ekonomicznym inteligencji i literatury. „Kronika międzynarodowa" i „Uwagi" polemiczne i krytyczne uzupełniają treść interesującego numeru.

Z przyczyn niezależnych od Redakcji, numer niniejszy wyszedł z pewnem opóźnieniem, przez co niektóre z zamieszczonych tu tematów, stały się mniej aktualne.

REDAKCJA.

HUMOR ZAGRANICZNY.



Wuj (który uważnie przestudjował repertuar teatrów, chcąc znaleźć sztukę odpowiednią dla młodziutkiej siostrzenicy, przybyłej z prowincji): — Jestem poprostu przerażony, moje dziecko — mamy jedynie możność wyboru z dwojga złego...

Siostrzenica: — To świetnie! Jedno złe obejrzymy sobie dzisiejszej nocy, a drugie jutrzejszej. („*Punch*").

DZIECIĘCA UFNOŚĆ.

— Mamo, niech Józia posiedzi przy mnie, jak pójdziesz z tatusiem na koncert.

— Józia nie może, moje dziecko, musi w kuchni obierać kartofle. Ale nie bój się: Anioł stróż będzie czuwał nad tobą. — To możeby anioł stróż obierał kartofle, a Józia by tym czasem przy mnie posiedziała?

(„*Berl. Ilustr.*")

ODCIĄŻENIE PODATKOWE.

— Przynoszę panu dobrą wiadomość. Wobec kryzysu przemysłowego rząd postanowił obniżyć podatki, teraz będzie pan płacił o 55 frs. mniej podatku dochodowego. Natomiast podniósł się nieco podatek od lokali. Dla pana uczyni to nieznaczną różnicę 75 frs. („*Illustration*").

PRZESADA.

— U was w Warszawie wszystko się przesadza.

— Ależ nie! Najlepszy dowód, że kiedy ktoś puści jakąś bajkę i opowie ją 2 razy, to za trzecim już sam jest najmocniej przekonany, że to święta prawda. („*Illustration*")

GWARANCJA

— To okazyjne kupno. Ale automobil jest wyjątkowo dobrej konstrukcji. Napewno wystarczy panu do śmierci. Przyjmujemy dwuletnią gwarancję. („*Illustration*").

NIEPRZEJEDNANY.

— Ach ten biedny Kajetan umarł. Mam nadzieję, że mu teraz wreszcie przebaczysz?

— Nigdy! Toby było za dobrze, gdyby dla uzyskania przebaczenia wystarczyło po prostu umrzeć!...

(„*Gai Paris*").

OBYCZAJE MARSZAŁKÓW.

— Kiedy Marszałek Joffre był jeszcze pułkownikiem na Madagaskarze, zjawił się u niego pewien naczelnik tubylczego szczepu i ofiarował mu oddział swoich żołnierzy. „Ale żądam za to urzędu największego, najwyższego, najbardziej zaszczytnego" - dopominał się krajowiec. — „Odwróć się!" — rozkazał pułkownik Joffre — i zaaplikował mu tak silnego kopniaka, że przyszły dostojnik odrazu znalazł się za drzwiami.

(„*Le Cri de Paris*").

ZIMNA KREW.

Gdy ważyły się losy nad Marną, córka Joffre'a otrzymała od ojca list bardzo serdeczny. Przyjaciele dopytywali się, czy generał nie udzielił jej jakichś szczegółów, dotyczących jego operacyj? — Nie, prosi mnie tylko, aby mu koniecznie napisać, jak się miewa jego mała suczka, do której jest bardzo przywiązany".

(„*Le Cri de Paris*")

FILM DŹWIĘKOWY.

— Co myślisz o filmie dźwiękowym?

— Gdybym był ślepy, myślałbym, że to jest kiepski gramofon; gdybym był głuchy, sądziłbym, że to przestarzały film niemy z epoki zawiązków sztuki filmowej. Ale ponieważ nie jestem ani głuchy, ani ślepy, więc nie pozostaje mi nic innego, jak stwierdzić, że to jest zapewne... największa zdobycz XX wieku.

(„*Das Magasin*").

BEZCZELNOŚĆ.

— Cóż to za bezczelny i źle wychowany człowiek, ten X. Na koncercie w Filharmonji cały czas nie spuszczał mnie z oka!

— Nie zauważyłem tego. Gdzież on siedział?

— Dwa rzędy za nami.

(„*Die Woche*").

KRYZYS OGÓLNY.

— Gdzie jest biuro rejestracyjne urodzin?

— Czy pan nie widzi kartki „zamknięte"?

— Jakto? Także zbankrutowało?!

(„*Illustration*"),

ŻOŁNIERSKA PROSTOTA.

— W pierwszą rocznicę nieśmiertelnej bitwy nad Marną Marszałek Joffre, otoczony kombatantami, inwalidami wojennemi, siostrami i lekarzami Czerwonego Krzyża, zwiedzał miejsca niedawnych krwawych zapasów. Kroczył w milczeniu, zamyślony, gdy wtem na horyzoncie ukazała się wstęga Marny. Jedna z rozentuzjazmowanych pań pobiegła do niego, wołając: „Panie Marszałku! Oto Marna!" — Joffre podniósł głowę i spokojnie zauważył: „Tak, to ładna rzeka". — („*Le Cri de Paris*").

TATUŚ.

— Joffre, jako generalissimus, zdobył sobie miłość i zaufanie swoich żołnierzy. On ich nazywał „swojemi dziećmi", oni jego „Tatusiem". Lubił z nimi rozmawiać. Pewnego razu zapytał młodego ochotnika: „Znasz mnie dobrze, smyku?" — „O tak panie marszałku!" — „Jak mnie nazywasz w rozmowie z kolegami?" — Wachanie... Ale marszałek uśmiechnął się — i żołnierz odpowiedział: „Tatusiem" — To bardzo ładnie... A powiedz-no mi, czy jest jeszcze jakiś generał, któryby zasługiwał na tą nazwę?" „Joanna d'Arc, panie marszałku". („*Cyrano*").

Redakcja i Administracja „FALI" mieści się tymczasowo przy ul. **Leszczyńska 10 m. 7** (mieszkanie prywatne).

Administracja czynna w dni powszechne z wyjątkiem sobót **od godz. 17 m. 30 do godz. 20 w.**
Redaktor naczelny przyjmuje tamże w soboty (godz. 17 — 20).

WARUNKI PRENUMERATY: w kraju kwartalnie **zł. 3.50**, półrocznie **zł. 7.00**, rocznie **zł. 14.00**.
Za granicą: kwartalnie **75 cent.**, rocznie **3 dol.** Konto czekowe **24872**.

Redaktor naczelny **Bohdan Gębarski**.—Redaktor odpowiedzialny **Józef Palusiński**.—Wydawcy: **Bohdan Gębarski** i **Józef Palusiński**.

Druk. T-wa Polskiej Macierzy Szkolnej, Warszawa, Elektoralna 18.